



Alice Sharpe

*Trzy swatki*



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Trzymając na rękach rozzłoszczonego kocura, Lora Gifford zadawała sobie pytanie, kim do licha jest ten niesamowicie przystojny mężczyzna, który właśnie wszedł do gabinetu. Chyba nie tym weterynarzem, którego przysłała wybadać... to jest, spotkać? Nie, niemożliwe.

Po pierwsze, nie wyglądał na kogoś, komu trzeba poszukać kobiety, chętne musiały znajdować się same. Po drugie, wiedziała z dobrze poinformowanego źródła, że doktor Reed przekroczył sześćdziesiątkę, tymczasem ten musiał być o połowę młodszy. Z wyrazistymi rysami twarzy i ze złościstą opalenizną bardziej przypominał gwiazdora z Hollywood niż weterynarza. Nawet profesjonalnie wyglądające okulary w cienkiej metalowej oprawce potrafił zdjąć z wdziękiem gwiazdy.

Do licha.

To nie ten!

W takim razie musiała zastosować plan B, choć jeszcze nie zdołała go wymyślić. Trzeba jakoś zręcznie wycofać się z sytuacji, nie budząc podejrzeń.

Nieznajomy uśmiechnął się do niej, a wtedy w głowie Lory natychmiast zrodził się plan C - zostać i wypytać tego intruza o interesującego ją mężczyznę.

- Kim pan jest? - Zabrzmiało to jak wyrzut, dodała więc pospiesznie: - Pytam, ponieważ spodziewałam się ujrzeć doktora Reeda.

Amant filmowy wsunął okulary do górnej kieszeni i wyciągnął rękę na powitanie.

- Victora nie ma. Jestem Jon Woods. Z przyjemnością zajmę się pani kotem.

Lora chciała podać mu rękę, a wtedy Boggle skorzystał z okazji, by wyrwać się z jej uścisku. Wskoczył jej na ramię i wczepił się w nie z całej siły. Jęknęła.

Jon Woods delikatnie uwolnił ją od kota, postawił go na metalowym blacie i zaczął głaskać, jednocześnie przemawiając do niego uspokajająco. Dziwne, nie potrafiła zrozumieć ani słowa. Czyżby umiał mówić w jakimś sekretnym języku, zrozumiałym tylko dla zwierząt?

- Proszę mi powiedzieć, na czym polega problem.

Problem w tym, że... na niczym. Kotu nic nie dolegało, potrzebowała go jako pretekstu, by zobaczyć się z mężczyzną, o którego jej chodziło. To zresztą nawet nie był jej kot, pożyczyła go sobie od sąsiada.

- Wie pan, chyba poczekam na doktora Reeda.

- Długo musiałyby pani czekać. Miał operowaną nogę, nie będzie go przez kilka tygodni.

- Och! Jest w szpitalu?

- Bardzo się pani zmartwiła. Czy pani też należy do grona jego wielbicieli, którzy tylko jemu pozwalają leczyć swoich pupili? Nie, chwileczkę, to chyba pani pierwsza wizyta u nas?

- Zgadza się. Nigdy nie byłam u doktora Reeda. Nawet nie umiałabym go rozpoznać.

W jego brązowych oczach odbiło się zdumienie, lecz Lora udawała, że tego nie dostrzegła.

- Nie orientuje się pan, jak długo będzie w szpitalu?
- Jeszcze przez kilka dni. Potem czeka go rekonwalescencja w domu.

Plan D powstał w ciągu sekundy. Trzeba oddać kota, wrócić do kwaciarni, przygotować wiązanekę i dostarczyć ją do szpitala osobiście.

Ostrożnie sięgnęła po kocura.

Jon Woods przykrył jej dłoń swoją.

- Zapewniam panią, że potrafię...
- Och, nie wątpię w pańskie kompetencje. Na pewno umie pan wyciąć, co potrzeba.

Wyglądał na jeszcze bardziej zbitego z tropu niż przed chwilą.

- Czyli w tym celu go pani przyniosła? Przykro mi, dziś nic z tego nie będzie. Na takie zabiegi umawiamy się z wyprzedzeniem. Pasuje pani inny termin?

Do twarzy mu było z tym zakłopotaniem. Miał żywą twarz, łatwo ukazującą emocje. I miał bardzo ładne dłonie, proporcjonalne i mocne, a jednocześnie ich dotyk był niezwykle delikatny.

Sprawił wrażenie kogoś godnego zaufania. Czy to możliwe, by ten mężczyzna, był inny od pozostałych?

- Nie - powiedziała na głos.

jego dłoń łagodnie cofnęła się z jej dłoni na grzbiet kota, który ku zdumieniu Lory zamruczał z zadowoleniem, zamiast swoim zwyczajem wściekle prychnąć.

- Szkoda. Stałby się łagodniejszy, gdyby go wysterylizować.

Dopiero teraz zrozumiała, jak zinterpretował jej słowa.

- Ach, nie, nie po to przyszłam. Ja tylko chciałam... —  
Cóż, nie znała się na kotach, zawsze miała rybki. - Chciałam się upewnić, czy z nim wszystko w porządku. Jest nerwowy. Nawet bardzo nerwowy. I prycha. Prawie cały czas.

- To się zaczęło niedawno?

Przypomniała sobie, jak Boggle wodził za nią ślepiami, siedząc pod werandą sąsiada.

- Nie, zawsze taki był.

- A jak z jego apetytem?

Skąd miała to wiedzieć?

- W normie.

- A czy jest u pani jakiś nowy domownik? Maż? Przyjaciel?

Czy ten przystojniak próbował z nią flirtować? Może na wszelki wypadek szybko zełgać, że ma szalenie zazdrosnego męża?

- Nie, nie ma nikogo takiego - powiedziała cicho.

- Rozumiem.

Ich spojrzenia spotkały się. Lora szybko spuściła wzrok.

Jon Woods wyjął z szafki pudełko z tartym żółtym serem i wysypał na blat wąską smużkę, a potem sięgnął po stetoskop. Kot, zajęty zlizywaniem sera, dał się zbadać łatwiej, niż Lora przypuszczała. Chyba sam doktor Reed nie zrobiłby tego sprawniej, a już na pewno nie wyglądałby przy tym tak atrakcyjnie.

Szkoda, że nie przyjrzała się Jonowi uważniej, gdy był w okularach. Na pewno tylko dodawały mu uroku. Za to teraz mogłaby -bez trudu obejrzeć go sobie od tyłu. Wy-

starczyłoby nieco przechylić głowę, by zerknąć, czy ma zgrabny...

Przestań! Masz się zająć doktorem Reedem, podobno bardzo sympatycznym, i dowiedzieć się, czy nie ma złych nawyków i czy jest do wzięcia.

- Proszę pani?

Głos Jona wyrwał ją z zamyślenia.

- Tak?

- Moim zdaniem nic mu nie dolega. Ta nerwowość musi być wrodzona. Kot już jest wysterylizowany, a i to nie pomogło.

Pewnie zachodził w głowę, jak właścicielka mogła tego nie wiedzieć.

Nie obchodziło jej, co o niej myślał. Nie, nie do końca tak. To znaczy, nie obchodziło jej z powodów prywatnych. Owszem, wyglądał zabójczo, ale Lora od pewnego czasu trzymała wszystkich mężczyzn na dystans.

Z drugiej strony nie chciała zostawiać po sobie złego wrażenia. Leżące na wybrzeżu oceanu Fern Glen było małym miasteczkiem, więc nie dało się wykluczyć ponownego spotkania. Kto wie, czy Jon nic zjawi się w kwiaciarni, gdy będzie potrzebował bukietu dla nowej sympatii? Na pewno będzie to piękna opalona blondynka, która nie musi urabiać rąk po łokcie, żeby jakoś związać koniec z końcem.

Lora założyła za ucho niesforny ciemny lok.

- Mam go dopiero od niedawna, więc po prostu wolałam się upewnić.

- Ach, to wiele wyjaśnia - powiedział z ulgą, jakby ucieszony faktem, że jednak nie ma do czynienia z kompletną idiotką.

Ponownie włożył okulary. Oczywiście prezentował się w nich wyjątkowo atrakcyjnie. Sięgnął po kartę, w której były dane zwierzęcia i właściciela.

- Nie podała nam pani swojego numeru telefonu - zauważył.

- Po co państwu mój numer telefonu?

- Taką tu mamy zasadę. - Sięgnął po ołówek.

Podła więc zmyślony numer, podziękowała, wyciągnęła z kieszeni książeczkę czekową, po czym złapała Boggle'a i pośpiesznie opuściła gabinet.

Recepcjonistka poprosiła, by Lora zaczekała chwilę, a sama poszła spytać doktora, na jaką kwotę wypisać rachunek.

Kot znowu się denerwował, próbowała więc głaskać go podobnie jak Jon. i przemawiać do niego uspokajająco. Przez moment, gdy tak patrzyła zwierzęciu w oczy, równie zielone jak jej, wydawało jej się, że osiągnęli jakieś instynktowne porozumienie, ale chwilę później Boggle otworzył szeroko pyszczek, tak szeroko, że mogła zajrzeć w głąb jego różowego przełyku i wydał z siebie niezwykle przerażający gardłowy syk.

- Brzydki kot! - ofuknęła go.

Recepcjonistka wyszła z gabinetu.

- Pan doktor mówi, że dzisiejsza wizyta nie będzie nic kosztować.

Ta wspaniałomyślność zaskoczyła ją. Nie dość, że przystojny, to jeszcze czarujący. Trzeba stąd zwiewać jak najdalej.

W samochodzie Boggle wlaź pod fotel pasażera i zaczął wściekle prychać, manifestując swoją niechęć-

- Nic dziwnego, że wolę rybki - skwitowała.

Jon wyrzął przez okno, by jeszcze raz rzucić okiem na właścicielkę kota z trudnym charakterem, ale zobaczył tylko dużą niebieską furgonetkę, która wyjeżdżała z parkingu. Przekręcił żaluzje z powrotem i sięgnął po karłą kolejnego pacjenta.

Tkwił w tym miasteczku na północnym krańcu Kalifornii prawie od miesiąca i coraz bardziej się nudził. W wolnym czasie mógł tu najwyżej spacerować po pustej plaży, podziwiać olbrzymie sekwoje i ucinać sobie pogawędkę z nieznanymi, nic poza tym. Brakowało mu Los Angeles, Triny i życia, jakie prowadził - choć niekoniecznie w tej kolejności.

Musiał jednak przyznać, że Lora Gifford zainteresowała go. Była ujmująco naturalna.

Wydawała mu się nieco płochliwa, jakby ktoś ją kiedyś mocno zranił i teraz miała się na baczności przed ludźmi. Zaprażyła otoczyć ją opieką. Nie, to było nierozsądne pragnienie. Łatwość wczuwania się w sytuację innych bardzo mu ułatwiała pracę ze zwierzętami, ale nie mógł pozwolić, by rządziła nim w kontaktach z ludźmi. Zwłaszcza w kontaktach z kobietami.

Nawet jeśli miały piękne czarne loki.

Pięć lat przed narodzinami Lory jej rodzice kupili niewielką nieruchomość położoną w samym środku miasteczka Fern Glen. Pani Gifford chciała otworzyć sklep z tkaninami, a jej mąż sklep wędkarski. Ostatecznie poszli na kompromis i założyli kwiaciarnię, ponieważ wtedy w okolicy nie było ani jednej, nie groziła im więc konkurencja.

Niestety, za ten kompromis przyszło im zapłacić dużą



cenę. Każde z nich czuło żal, że nie spełniło swoich marzeń, a ten żal z biegiem czasu tylko się powiększał. W domu panowała napięta atmosfera. Wybuchwały kłótnie, małżonkowie stopniowo oddalali się od siebie. Ojciec najchętniej uciekał na ryby. Mama szyła narzuty, by mieć dodatkowy zarobek, ponieważ kwaciarnia nie prosperowała aż tak dobrze. Lora po lekcjach przesiadywała u znajomego hodowcy lili, ponieważ u niego czuła się lepiej niż w domu, gdzie rodzice toczyli wojnę podjazdową.

Hodowca lili był starym człowiekiem, posiadającym ogromną wiedzę, którą pragnął komuś przekazać. Cieszyło go, że znalazł tak chętnego ucznia, zdradził więc Lorze wszystkie tajniki swojej sztuki. Jego szklarnia stała się dla niej najbardziej przyjaznym miejscem na świecie, oazą ciszy i spokoju.

Przed czterema laty Lora otrzymała niewielki spadek po wujku i przeznaczyła pieniądze na kupno małego domku, gdzie wreszcie mogła zamieszkać sama. Rodziców zdziwił jej wybór, ponieważ domek był nie tylko ciasny, ale i brzydki. Nie wyjaśniła im, że naprawdę chodziło jej o stojącą w ogródku szklarnię.

Dwa lata później pan Gifford zapakował swoją łódkę oraz sprzęt wędkarski na przyczepę i odjechał w siną dal, uznawszy, że trzydzieści lat małżeństwa to dość jak na jego potrzeby. Pani Gifford nadal prowadziła kwaciarnię, która przynosiła tak mizerny dochód, że właścicielce zaczynało brakować na utrzymanie. W tej sytuacji Lora zaprosiła mamę na kilka miesięcy do siebie. Z paru miesięcy nieopstrzeżenie zrobił się rok.

Po roku pod drzwiami zjawiła się babcia Lory, a wraz

z nią trzy walizki i pięć pudeł. Ella Williams owdowiała dawno temu, od wielu lat mieszkała sama. Nie mogąc już dłużej tego wytrzymać, w akcie desperacji przyjechała do wnuczki. Była gotowa mieszkać w jednym pokoiku z córką, byleby tylko móc zostać w Fern Glen. No i jak Lora miała wyrzucić za drzwi swoją rodzoną babcię? Tak więc w małym, niewygodnym domku mieszkały trzy pokolenia, a Lora czuła, że niedługo zwariuje.

Wszystko przez Calvina.

Wierzyła, że to „ten jedyny”, on zaś zostawił ją i to raptem dwa miesiące po tym, jak ustalili datę ślubu! A wydawali się tworzyć idealną parę... Byli w tym samym wieku, oboje uwielbiali spędzać wolny czas na świeżym powietrzu, oboje mieli rodziny w Fern Glen. Calvin jednak nie zamierzał zostać w miasteczku, o czym Lora nie miała najmniejszego pojęcia. W tajemnicy ubiegał się o pracę w Chicago. Dostał ją i dopiero wtedy powiedział o tym narzeczonej, bardzo dumny z siebie. Lora miała tylko spakować walizkę i jechać z nim do wielkiego miasta.

- Ale ja mam własne plany i mogę zrealizować je tylko tutaj - zaprotestowała.

- No to wybieraj - odparł.

Pomna przykładu swoich rodziców, dokonała wyboru. Nie zamierzała popełniać ich błędów i rezygnować z realizacji własnych marzeń.

Calvin wyjechał sam. Mama i babcia, pełne współczucia, postanowiły znaleźć jej kogoś odpowiedniejszego. Na nic zdały się jej protesty. Tłumaczyła, że mężczyzna nie jest jej potrzebny do szczęścia, ale one i tak wiedziały swoje. Pod różnymi pretekstami- zapraszały do kwaciarni i do do-

mu różnych kawalerów. Sytuacja stawała się coraz bardziej kłopotliwa dla Lory, która uznała w końcu, że musi coś z tym zrobić.

Obie kobiety chyba miały za dużo czasu, skoro do tego stopnia skoncentrowały się na jej sprawach. Gdyby się nie nudziły, nie wtrącałyby się do niej. To im należało znaleźć mężów!

. Lora podrzuciła kota z powrotem, obdzwoniła szpitala, by dowiedzieć się, w którym przebywa doktor Reed, a potem wślizgnęła się do kwiaciarni tylnymi drzwiami. Na szczęście akurat przyszli jacyś klienci i obie jej ukochane „dreczycielki” miały zajęcie, Lora mogła więc szybko przygotować na zapleczu wiązanekę z żonkili i szafirowych hiacyntów. Potem udało jej się niepostrzeżenie wymknąć tą samą drogą.

Liczyła na to, że chory jest spragniony towarzystwa i da się wciągnąć w pogawędkę, podczas której ona wydobędzie z niego potrzebne jej informacje.

Jej potencjalny ojczym leżał na łóżku i czytał książkę. Miał imponującą grzywę srebrnych włosów i równo przyciętą białą brodę, co nadawało mu dostojny wygląd kapitana okrętu. Gdy podniósł wzrok, zobaczyła intensywnie niebieskie oczy. Pierwszy plus - przystojny.

- Znowu kwiaty? - zdziwił się. - Od kogo?

Podawała mu ozdobną kartkę, którą sama przygotowała.

- Od pańskich przyjaciół z lecznicy.

- Naprawdę przesadzają, przecież dziś po południu wracam do domu, moja siostra już tam zaniósła wszystkie poprzednie bukiety. Hm, cóż. Proszę je postawić przy oknie.

Czyli zajmowała się nim siostra, a nie jakaś znajoma pani... Bardzo dobrze.

- W takim razie dostarczę ten bukiet panu do domu - zdecydowała natychmiast. Coraz lepiej! Będzie mogła zobaczyć, jak on mieszka.

- Nawet nie śmiałybym pani fatygować...

- Nalegam - odparła z mocą. - Pewnie cieszy się pan, że już wraca do siebie? - zagadnęła. - Nie ma to jak w domu, prawda? Będzie pan mógł usiąść w fotelu z cygarem lub fajką, przyrządzić ulubionego drinka...

Nie miała pojęcia, czy to nie kwalifikuje się już jako wtykanie nosa w nie swoje sprawy, lecz doktor Reed wyraźnie miał ochotę na pogawędkę.

- Nie palę, za to od czasu do czasu lubię wypić kieliszek czerwonego wina - przyznał, odkładając książkę. - Mówią, że to odmładza.

- Sądząc po tym, co widzę, mają rację.

Roześmiał się. Miał naprawdę miły uśmiech.

- Proszę, proszę! A czemu to taka śliczna dziewczyna flirtuje z takim starym dziadem jak ja?

• Zaśmiała się również. Coraz bardziej jej się podobał. Z kimś takim mama mogłaby być wreszcie szczęśliwa.

- Czyli mieszka pan z siostrą? - kontynuowała temat.

- Nie, moja siostra Jess jest zameżna i ma własny dom. Odkąd owdowiałem, a moi dwaj synowie przenieśli się na Wschodnie Wybrzeże, mieszkam sam.

Wskazała jego zabandażowaną nogę, leżącą na kołdrze.

- W takim razie jak pan sobie poradzi sam? Przecież chyba nie może się pan poruszać?

- Aż tak źle nie jest. Będę chodził o kulach.

- To nie takie łatwe. Zwłaszcza na początku, gdy człowiek nie zdążył się jeszcze przyzwycząić.

- Nic nie szkodzi. Moja siostra będzie codziennie do mnie zaglądać.

Zmarszczyła brwi i pokręciła głową, autentycznie zatroskana.

- To za mało. A jeśli coś się stanie? Jeśli na przykład w nocy wybuchnie pożar? Moim zdaniem nie powinien pan teraz mieszkać sam, to może być niebezpieczne. Lepiej byłoby wynająć kogoś, żeby panu towarzyszył.

- Pani chyba jest w zмовie z moim lekarzem i z Jess. Jakbym ich słyszał! Czy panią na mnie nasłali, młoda damo?

- Nazywam się Lora Gifford. - Wyciągnęła do niego rękę. - Proszę mi mówić po imieniu.

Miała już odpowiedź na najważniejsze pytania. Był sympatyczny, przystojny, nie pił i nic palił, i nie miał żadnej przyjaciółki. Teraz tylko trzeba było z powrotem postawić go na nogi, i to najszybciej, jak się tylko da.

Serdecznie potrząsnął jej dłońią.

- Nie martw się o mnie, Loro. Naprawdę potrafię dać sobie radę sam. Powiedziałaś „Gifford”? Czy przypadkiem nie jesteś córką George'a Gifforda?

- Pan znał mojego tatę? - zdumiała się.

- Czasem łowiliśmy razem ryby, gdy moi chłopcy mieli po parę lat. Pamiętam, miał kwiaciarnię „Lora”. Teraz rozumiem, że nazwał ją tak na twoją cześć. - Zadumał się. - Widziałem cię parę razy z mamą, mogłaś mieć ze cztery latka. Twoja mama była prawdziwą pięknoscią. Miała czarne włosy i zielone oczy... Jesteś do niej bardzo podobna.

Westchnęła. Chciałaby być do niej podobna bardziej. Niestety, odziedziczyła nos po tacie i niski wzrost po babci.

- Nadal jest piękna. Rozwiedli się z tatą parę lat temu. Wyjechał do San Diego i może teraz łowić te swoje ryby, ile dusza zapagnie.

- Rozwiedli się? To przykre.

- Ale chyba oboje są dzięki temu szczęśliwsi. Mama wygląda kwitnąco.

Naraz przyszedł jej do głowy znakomity pomysł, który umożliwił jej lepsze poznanie tego człowieka.

- Doktorze Reed, skoro w pewnym sensie jesteście starymi znajomymi, chciałabym złożyć pewną propozycję. Nadal uważam, że powinien pan wynająć kogoś, kto będzie u pana nocował, by nie zostawał pan sam na tyle godzin. Może zatrudniłby pan mnie? Potrzebuję takich dorywczych prac, bo ledwo wiążemy koniec z końcem. Przychodziłabym po zamknięciu kwiaciarni. Przynajmniej będzie miał pan kogoś sprawnego pod ręką, jeśli coś się stanie.

Zaskoczony tą nieoczekiwaną propozycją, nie wiedział, co powiedzieć.

- Jestem zaradna i kompetentna - podkreśliła.

- W to nie wątpię.

- Nie bałaganę i nie sprawiam kłopotów.

Uśmiechnął się. Chyba zaczynał rozważać jej propozycję.

- Wcześniej chodzę spać. Nudziłabyś się wieczorami.

- Tylko nudni ludzie się nudzą. Tak- mówi moja mama

- dodała, nie przepuszczając okazji, by ją zareklamować.

- Mogę dostarczyć panu moje referencje, jeśli...

Przerwał jej machnięciem ręki.

- Nie trzeba.

- Czego nie trzeba? - odezwał się ktoś od strony drzwi.

Rozpoznała ten głos od razu. Odwróciła się, a Jon Woods ze zdumieniem zamrugał oczami na jej widok.

Ona zamruwała również, ponieważ wyglądał jeszcze bardziej zabójczo niż przedtem. Na czarną koszulę narzucił znakomicie skrojoną marynarkę, a na szyi nie dyndał mu stetoskop, więc zamiast weterynarza miała teraz przed sobą eleganckiego mężczyznę z klasą.

Czemu, och, czemu, wybierając się do szpitala, związała włosy w koński ogon? I czemu nie przebrała się w coś innego? Ten zielony sweter był taki... bezpłciowy. I zbyt obszerny, jej drobne piersi ginęły w nim kompletnie, więc wyglądała na płaską jak deska.

Oczywiście nadal miała niechętny stosunek do mężczyzn i do związków.

- Co za zbieg okoliczności - zauważył Jon, patrząc jej prosto w oczy. - Nie spodziewałem się zobaczyć pani tutaj.

Ona też się tego nie spodziewała. Postąpiła nieostrożnie, zjawiając się u chorego w porze lunchu. I to u chorego, którego nigdy przedtem nie spotkała, o czym Jon wiedział. Niepotrzebnie się wygadała.

- Cóż w tym dziwnego? Miałam dostarczyć kwiaty.

- To wy się znacie? - ucieszył się doktor Reed.

Jon przestał przyglądać się Lorze badawczo i spojrzał na starszego weterynarza.

- Poznaliśmy się dziś rano. Pani przysłała z kotem do lecznicy i bardzo się zawiodła, spotykając mnie zamiast ciebie.

Doktor Reed zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem. Przecież nie byłaś u nas wcześniej. Z całą pewnością nie leczyłem twojego kota.

Czy mama nie powtarzała jej, żeby nigdy nie kłamać? Nie posłuchała, no i proszę. Tego dnia nałgała już tyle, że chyba wyczerpała limit na całe życie.

- Ale wyleczył pan selera irlandzkiego mojej przyjaciółki Peg Ho. To ona naopowiadała mi o panu samych wspaniałych rzeczy.

To akurat była prawda, więc przynajmniej w tym momencie Lora czuła się w porządku.

Weterynarz roześmiał się serdecznie.

- Seter pani Ho to niezły numer. Powinieneś go kiedyś zobaczyć w akcji, Jon.

- Skoro lubisz zwierzęta z charakterem, kot pani Gifford zostanie twoim faworytem.

- Boggle bywa trochę nietowarzyski - przyznała Lora i dodała: - Korzystając z okazji, chciałabym podziękować, że nie wziął pan pieniędzy za wizytę, doktorze Woods.

- A nie lepiej po prostu „Jon”?

- Miło mi, Jon - powiedziała z niejakim trudem.

W jego obecności jej stanowcza decyzja, by już nigdy z nikim się nie wiązać, okazywała się trudniejsza do zrealizowania, niż Lora początkowo przypuszczała. Nie trzeba było dużej wyobraźni - a ona miała wyjątkowo bujna - by ujrzeć się w jego ramionach...

- Wspomniały bukiet - zauważył ze szczerym podziwem.

- Lora pracuje w rodzinnej kwiaciarni - wyjaśnił doktor Reed, przenosząc uważne spojrzenie z jednego na drugie.

Na widok uśmiechu Jona zrobiło jej się dziwnie i kolana



się pod nią ugięły. Uwielbiała, jak mężczyzna miał piękny uśmiech.

- Bardzo oryginalna kompozycja - dodał.

- Dzięki - wymamrotała pod nosem. Czuła, że powinna jak najszybciej stąd wyjść. Robiło się coraz niebezpieczniej!

Ku jej uldze Jon ponownie zwrócił się do chorego.

- Victor, wpadnę tu jeszcze dziś wieczorem, sprawdzę, jak się czujesz. Coś ci przynieść? Gazety? Radio? Herbatę z prądem w termosie? - Mrugnął porozumiewawczo.

- Na szczęście już mnie tu nie będzie. Za kilka godzin przyjedzie po mnie Jess z mężem i zabrają mnie do domu.

Lora zorientowała się, że nadszedł odpowiedni moment, by się ulotnić. Niestety, nie zdołała jeszcze ustalić z doktorem Reedem swojego planu. Zjawienie się Jona pokrzyżowało jej szyki.

- To ja już pójdę...

- Nie zostawiasz bukietu? - zdziwił się Jon.

- Lora przyniesie mi go dziś wieczorem do domu. Nie myśl, drogi chłopcze, że nie jestem wam wdzięczny za pamięć, ale naprawdę przestańcie zasypywać mnie kwiatami!

Jon przyglądał mu się ze zmarszczonymi brwiami.

- Dzisiaj nic nie wysyłałiśmy.

- Tak? A co tu jest napisane? - Doktor Reed podał mu kartkę otrzymaną od Lory. Jon przestudiował ją uważnie.

- Może to inicjatywa którejś z asystentek - podsunęła Lora.

- Na pewno - przytaknął doktor Reed. - Te dziewczyny są przemiłe.

Jon nie wyglądał na przekonanego.

- A tu mi się trafiła kolejna. - Doktor Reed wesoło

mruwnął do Lory. - Ta śliczna młoda dama zamierza mnie pilnować po nocach.

- Przecież nie chciałeś, żeby ktoś obcy siedział z tobą w domu - zdumiał się Jon.

- Ale ona nie jest kimś obcym. Znałem jej ojca, widywałem ją, jak była mała.

- Znałeś jej ojca? Chyba nie lepiej niż mojego. To mojemu tacie bardzo pomogłeś, i to ja chciałbym ci się teraz odwdzięczyć.

- Przecież właśnie to robisz! Ponośisz koszty mojego leczenia, dzięki tobie mam osobny pokój i dodatkową opiekę. Spłaciłeś dług z nawiązką, nic nie jesteś mi winien. W dodatku nie masz czasu na to, by przy mnie siedzieć, a Lora może sobie na to pozwolić. I jest dużo ładniejsza od ciebie.

Spojrzeli na nią obaj, a ona zarumieniła się po same uszy.

- Z tym ostatnim zgadzam się w stu procentach - odezwał się Jon.

- I zamierzam jej zapłacić, więc nie będę czuł, że kogoś wykorzystuję. Ty byś nic ode mnie nie wziął. A ona weźmie. I oboje będziemy zadowoleni.

Pomyślała o pasku klinowym w swojej furgonetce, który trzeba było pilnie wymienić i przytaknęła z uśmiechem.

- Do tego lubi koty! - ciągnął z entuzjazmem doktor.  
- Czy mógłbym znaleźć lepszą opiekunkę? Dziękuję, że mnie na to namówiłaś, moja droga.

Jon spojrział na nią podejrzliwie. Musiał się zastanawiać, czemu chciała opiekować się człowiekiem, którego nigdy przedtem nie widziała na oczy.

- Ona cię namówiła?

- O, tak! Potrafi być wyjątkowo przekonująca.

Wyraz twarzy Jona zmienił się. Jeszcze przed chwilą młody weterynarz patrzył na nią ciepło i życzliwie, teraz powiało od niego chłodem.

Lora pośpiesznie wymruczała coś na pożegnanie i wycofała się z pokoju.

- Do zobaczenia... niedługo - rzucił za nią Jon, a jego ton nie wróżył nic dobrego.

Niedługo? Mam nadzieję, że nie, pomyślała.

RS

## ROZDZIAŁ DRUGI

Lora umieściła bukiet dla doktora Reeda w niewielkiej chłodni znajdującej się na zapleczu, a potem zaczęła układać wiązanekę, która miała znaleźć się na wystawie kwiaciarni. Wybrała róże w odcieniu miedzi, ciemnofioletowe irysy dla kontrastu, cytrynowe frezje, by rozjaśnić kompozycję oraz lśniące liście magnolii jako przybranie. Jej bukiety nigdy się nie powtarzały, zawsze tworzyła coś nowego, lubiła rzeczy unikalne.

Pracując, zerkała ukradkiem na mamę i babcię. Zaczęły ogarniać ją wątpliwości. Czy miała rację, pragnąc ułożyć im życie na nowo? Żadna z nich nie sprawiała wrażenia nieszczęśliwej.

Babcia Ella, żwawa, niziutka, pulchna, o rozwianych mlecznobiałych włosach i zaróżowionych policzkach, krzątała się ze szmatką od kurzu, sprzątając zawzięcie. Zawsze tak robiła, gdy niby to przypadkowo miał zjawić się jakiś kawaler, którego swatała z Lorą. Ostatnio coś często wspominała o wnuku znajomej... Ratunku!

Mama pomagała jakiemuś klientowi wybrać kwiaty dla żony. Pięćdziesięcioletnia Angela Gifford miała kruczoczarne lśniące włosy, nieznacznie tylko przyprószone siwizną. Niedawno obcięła je do ramion, to ją odmłodziło. Była wysoka i smukła, prawdziwa piękność. Z nich trzech ona miała

najlepsze podejście do klientów, ponieważ umiała wyczuć, kiedy coś doradzić, a kiedy nie. Babcia miała tendencję do zasypywania wszystkich dobrymi radami, z kolei Lora nie wtrącała się w ogóle, co też nie było dobre.

Późnym popołudniem wrócili razem do domu. Lora prowadziła furgonetkę, bukiet dla doktora stał bezpiecznie z tyłu w specjalnym stojaku. Dopiero w domu oznajmiła, że szczęśliwie udało jej się zdobyć dodatkową pracę na jakieś dwa tygodnie.

- Mam opiekować się pewnym samotnym starszym panem, który jest po operacji nogi. Zamieszkać u niego, oczywiście w ciągu dnia będę normalnie w kwiaciarni. Pieniądze pójdą na remont furgonetki, bo zaczyna się sypać. Aha, któraś z was będzie musiała karmić moje rybki.

Babcia cmoknęła z dezaprobatą.

- Ale chyba nie zaczniesz od dzisiaj? Zaprosiłam pewnego młodego człowieka na deser po kolacji. Był nawet dziś w kwiaciarni, ale akurat pojechałaś dostarczyć bukiet. Przebierz się w coś ładnego i uczesz.

- Mamo, moim zdaniem on jest za młody - wtrąciła Angela. - To właściwie jeszcze chłopiec.

Lora zaniepokoiła się.

- To znaczy?

- Dla mnie wszyscy są młodzi - odpowiedziała córce Ella. - Jak będziesz miała siedemdziesiąt jeden lat, to sama zobaczysz.

- A on ma ile? - dopytywała się Lora.

- Jest jakieś sześć lat młodszy od ciebie - oceniła Angela.

Lora była wstrząśnięta.

- No przecież ja mam prawie dwadzieścia pięć! Swatacie mnie z nastolatkiem? - wykrzyknęła ze zgrozą. - To już w całym mieście nie ma kogoś w odpowiedniejszym wieku?

Babcia cmoknęła ponownie. .

- Nie wiedziałam, że masz uprzedzenia co do wieku. To staroświeckie. W dodatku twoja matka przesadza.

Angela zdecydowanie pokręciła głową.

- Zgadzam się z Lorą. Mężczyzna nie powinien być za młody.

- Dzięki, mam - powiedziała z wdzięcznością Lora. Nareszcie któraś z tych dwóch zaczynała wypowiadać się rozsądnie. Przynajmniej mama przestanie ją swatać.

- Chciałabym mieć wnuki - ciągnęła Angela. - Co mi po nastoletnim zięciu? Czy on potrafi zarobić na utrzymanie rodziny? Wątpię. Chyba że jest gwiazdą rocka albo geniuszem informatycznym, bo tylko takie nastolatki mogą zarabiać krocie.

- Pauline twierdzi, że jej wnuk jest bardzo obiecujący - przekonywała Ella.

Teraz Angela cmoknęła ze zniecierpliwieniem.

- To już lepszy ten nowy męski fryzjer po drugiej stronie ulicy. Przynajmniej ma własny biznes.

- I to laki, który raczej nie upadnie - przyznała babcia.  
- Kobieta zawsze sobie jakoś poradzi, ale mężczyźni muszą chodzić do fryzjera. Oczywiście, o ile nie golą się sami na łyso. Przekonałaś mnie. Nakarmimy chłopca szarlotką i na tym koniec.

Angela skinęła głową.

- No to się zgadzamy. Aha, spotkałam dziś tego fryzjera

na ulicy, pogadaliśmy chwilę, jest bardzo miły. Ma na imię Michael. I wyobraźcie sobie, pytał o Lorę!

Babcia klasnęła w ręce, a Lora przestała mieć wątpliwości co do tego, czy dobrze robi, biorąc sprawy w swoje ręce i próbując odmienić życie mamy i babci. Przecież inaczej zadreczą ją tym swataniem!

- Ile razy mam wam powtarzać, że nie jestem zainteresowana mężczyznami? Przynajmniej na razie. Czy kobieta koniecznie musi brać ślub i mieć dzieci? Nie. Może mieć własne plany. Nie musi już ograniczać się do spełniania tradycyjnej roli w społeczeństwie.

- Kiedy to dobrze być z kimś - odezwała się Angela rozmarzonym tonem, a oczy jej zaślniły. - Kobieta potrzebuje mężczyzny, kochanie. Oczywiście, czasem bywa bardzo trudno. Wiem, co musiałaś przeżywać, gdy Calvin cię zawiódł i zranił. To jednak nie powinno nastawiać cię wrogo do innych.

Lora oniemiała. Po tym, co zrobił tata, jej mama jeszcze broniła mężczyzn? Jeszcze wierzyła w to, że któryś jest godzien zaufania? Chociaż może to i dobrze, wzięwszy pod uwagę plan Lory dotyczący doktora Reeda.

- Przepraszam was, ale muszę się zbierać.

- Jak to? Nie zostaniesz na kolacji? - spytała babcia.  
- A wnuk Pauline? Dobrze, nie bierzemy go pod uwagę jako męża dla ciebie, ale przecież nie wypada, żeby cię nie było.

- Nic nie poradzę, mam jeszcze pracę w szklarni. Aha, nic tam nie musicie robić, zaniknę ją i będę podlewać codziennie rano. Za to pamiętajcie o rybkach!

Zapisała nazwisko doktora Reeda i jego numer telefonu

na kawałku papieru, który dała mamie. Godzinę później zgasiła światło w szklarni, przebrała się, spakowała trochę niezbędnych rzeczy do małej walizki i poszła do samochodu. Ledwo wycofała furgonetkę z alejki, skręcił w nią czerwony kabriolet z nastolatkiem za kierownicą.

Victor Reed mieszkał w dużym, ładnym domu na przedmieściach. Lorę zachwycił zwłaszcza ogród, wspaniale zaprojektowany i obsadzony różnymi gatunkami rododendronów, ale mocno zarośnięty. Widocznie to pani Reed zajmowała się ogrodem, a po jej śmierci nie miał go kto uprawiać.

Lora wyobraziła sobie, ile mogłaby tu zdziałać jej mama. Ogrodnictwo było jedną z jej wielkich pasji - obok szycia i gotowania.

Na frontowej werandzie siedziały dwa koty, jeden biały z szarymi plamami, drugi czarny jak węgiel. Ulokowały się dokładnie pod samymi drzwiami. Gdy Lora zastukała, ze środka rozległo się ujadanie. Nacisnęła klamkę, ponieważ Jess, siostra doktora, mogła zostawić drzwi otwarte, wiedząc o jej przyjściu. Ledwo uchyliła drzwi, oba koty wskoczyły do wewnątrz, podczas gdy dwa wielkie nowofunlandczyki równie gwałtownie wypadły na zewnątrz. Lora omal nie upuściła walizki i bukietu, gdy te wszystkie zwierzaki przez moment kotłowały jej się pod nogami.

- Doktorze Reed? - zawołała.

- Tutaj! - odkrzyknął z głębi mieszkania.

Psy wbiegły z powrotem, a korytarzem nadbiegł jeszcze jeden, nieduży i kudłaty kundel. Warknął, ale bez złości, po czym polizał walizkę Lory.

Dom był urządzony ze smakiem, podobnie jak ogród,



ale również nieco zapuszczony. Wyraźnie brakowało tu kobiecej ręki. Na szczęście Lora miała na to radę. W weekend zajmie się ogrodem doktora i poprosi mamę, żeby jej w tym pomogła. Przedstawi ich wtedy sobie, oni spojrzą sobie w *oczy* i...

Mama zobaczy nieco starszego od siebie mężczyznę, mądrego i pogodnego, zaś Victor Reed atrakcyjną kobietę w średnim wieku, długonogą, o pięknym uśmiechu. Lora z łatwością potrafiła wyobrazić sobie, jak potem żyją razem długo i szczęśliwie. Jedyne, co pozostanie do zrobienia, to znaleźć kogoś dla babci!

Psy zaprowadziły ją do gabinetu z ciemnymi meblami i niezliczoną ilością książek na półkach. W rogu znajdowało się duże biurko. Chory spoczywał na szeszlunku, przykryty kocem, zabandażowaną nogę miał wyciągniętą przed siebie. Na jego kolanach spał śnieżnobiały kot. Kule leżały obok na podłodze. Włączony telewizor wypełniał pokój miogoczącą niebieskawą poświatą.

- Moja droga, tak się cieszę, że przyszłaś. Umieram z głodu! W szpitalu rozładowała mi się komórka, a do stacjonarnego telefonu nie mogę podejść. Może zamówisz dla nas pizzę, co?

- A nie ma pan nic w lodówce?

- Mam, Jess zrobiła zakupy. Niestety, nie przyniosła nic gotowego, bo według niej to niezdrowe. Ja tam wrzucam jakieś danie do mikrofalówki i już, ale nie ona. Nie wiem, czy ty umiesz gotować...

Ostrożnie przestąpiła psy, które rozwaliły się na dywanie, postawiła bukiet na biurku, a walizkę wsunęła do kąta, by nie przeszkadzała.

- Czy ja umiem gotować? - powtórzyła z udawanym oburzeniem. - Proszę mi tylko wytłumaczyć, któredy do kuchni, a już ja panu pokażę!

Siostra doktora rzeczywiście zadbała o porządne zaopatrzenie lodówki. Było z czego wybierać! Pół godziny później Lora miała gotową kolację - smażone krewetki ze szparagami i jaśminowym ryżem. Postawiła na tacy dwa nakrycia i zaniósła ją do gabinetu. Wszystkie zwierzęta poderwały się, czując zapach jedzenia.

- Wygoń je za dom. Tam jest ogrodzone podwórko. Wystarczy poruszyć słoikiem z suchą karmą, który stoi za tylnymi drzwiami, od razu przybiegną. Jak to dobrze, że jesteś przyzwyczajona do zwierząt - dodał z zadowoleniem.

Nie do takich, które mają nogi, pomyślała. Ledwo ruszyła słoikiem, cała sfora czworonogów wypadła z domu na podwórko. Nasypała do misek trochę karmy i wróciła do domu, starannie zamykając za sobą drzwi.

- Słuchaj, to jest wyśmienite! - powiedział z uznaniem chory, sięgając po kolejną krewetkę. - Gdzie ty się nauczyłaś tak gotować?

- Od mamy. Jak ona coś przyrządzi, to po prostu palce lizać, mówię panu. A przy tym zdołała utrzymać doskonałą figurę.

- To musi być niezwykła kobieta.

- O, tak! - wykrzyknęła z zapałem.

Zjedli kolację, miło gawędząc. Doktor okazał się kompletnym przeciwieństwem jej skrytego, małomównego ojca. Mama zakocha się w nim z całą pewnością.

Akurat gdy skończyli, odezwał się dzwonek u drzwi. Lora poszła sprawdzić, kto to. Zerknęła przez okno. Na we-

randzie stał Jon Woods, tym razem w czarnym T-shircie, spłowiałych dzinsach i sportowych butach. Przez ramię miał przewieszony wypchany worek żeglarski. Wyglądał na zniecierpliwionego.

Nie podobało jej się to wszystko, a już najmniej ten jego wypchany worek. Przez moment kusiło ją nawet, by udać, że nikogo nie ma w domu, ale to byłoby idiotyczne. Przecież doktor Reed nie mógł nigdzie wyjść, w dodatku na podjeździe stała furgonetka dostawcza z napisem „Kwiaciarnia LORA”.

Wzięła się w garść i otworzyła drzwi.

- A gdzie psy? - spytał.

Co za powitanie! Najwyraźniej wciąż żywił do niej nieufność. Uśmiechnęła się słodko.

- Otrułam je i zakopałam na podwórku. Chcesz zobaczyć?

Żachnął się tylko.

Jak to możliwe, by w ciągu jednego dnia przeszedł od okazywania sympatii do żywienia niechęci? Czy to dlatego, że wcale nie zabiegała o jego sympatię, nie udawała lepszej, niż jest? Widać naturalność nie pociąga mężczyzn. A jeśli dodać do tego ten workowaty sweter... Musi go wyrzucić. Kobieta powinna jakoś wyglądać, niezależnie od tego, czy ma ochotę spotykać się z kimś, czy nie. Trzeba trzymać klasę!

- A tak właściwie, to czego sobie życzysz?

- Od ciebie nie życzę sobie niczego.

Minał ją i udał się prosto do gabinetu. Lora zamknęła drzwi na zasuwę i poszła za nim. Teraz mogła bez przeszkód obejrzeć go sobie od tyłu. Miał szerokie ramiona, był wysoki i dobrze zbudowany. Szedł sprężystym krokiem mężczyzny,

który jest pewny siebie i wie, czego chce. Podobnie chodził Calvin.

Doktor Reed uśmiechnął się ciepło na jego widok.

- Witaj, drogi chłopcze. Żałuj, że nie zdążyłeś na kolację.

- Nie szkodzi. Po drodze zatrzymałem się na hamburgera. Gdzie psy?

- Lora zabrała je na podwórko. Świetnie sobie z nimi sadzi. Aha, skoro przyjechała pierwsza, to powinna wybrać, w której sypialni chce spać.

- To Jon tu zostaje? I pan wiedział, że on przyjdzie?

- Oczywiście. W szpitalu rozmawialiśmy jeszcze trochę po twoim wyjściu. Zdaniem Jona potrzebna mi też męska opieka. Przekonał mnie. W końcu ty nie możesz mnie rozebrać do spania, czy pomóc mi się umyć.

Nie miała na to kontrargumentu, niemniej łypnęła na Jona z urazą.

- Ja naprawdę chętnie pomogę - zadeklarował. Zabrzmiało to szczerze, ale prowokacyjne spojrzenie Jona zdradzało, że jego właściwym celem było pomieszenie jej szyków. - A skoro już tu jestem, to po co jeszcze fatygować Lorę? Na pewno ma lepsze rzeczy do roboty, niż nudzić się w towarzystwie dwóch weterynarzy.

Miała ochotę dać mu w ucho. Co za podstępny człowiek!

- Nie ma mowy - zawyrokował z całą mocą doktor Reed. - Zawarłem z nią umowę. Poza tym ona wspaniale gotuje. I jeszcze chce w weekend pielić ogród. Ta dziewczyna to skarb. W dodatku będzie miał ci kto dotrzymać towarzystwa, gdy ja o ósmej wieczorem będę już głośno chrapał.

- Mam wyjątkowy talent konwersacyjny - wtrąciła Lora. - I grywam w rozbieranego pokera.

Na twarzy Jona nie pojawił się nawet ślad uśmiechu, za to doktor Reed roześmiał się głośno.

- No i sam powiedz, czy ona nie jest wspianała? Dobrze, kochani, pora spać. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Lora, wpuść już zwierzęta z powrotem na noc, Jon, przynieś mi, proszę, środek przeciwbólowy i pomóż mi przejść do sypialni.

Lora zebrała brudne nakrycia i zaniósła tacę z powrotem do kuchni. Była wściekła na Jona. Tak naprawdę nie ufał jej i tylko dlatego postanowił zamieszkać u doktora Reeda.

A niby czemu miałby ci ufać, spytał jakiś głos w jej głowie.

- Och, zamknij się! - fuknęła ze złością.

Psy i koty musiały z utęsknieniem czekać przy drzwiach, ponieważ gdy tylko je otworzyła, runęły do środka, machając ogonami i ocierając się o jej nogi. Jeszcze nigdy nie miała do czynienia z taką ilością czworonogów naraz, to było dla niej zupełnie nowe doświadczenie.

I całkiem przyjemne, musiała przyznać. Rybki nie manifestowały przyjaźni tak otwarcie i żywiołowo. Biały kot zaczął pocierać łebkiem o jej pantofel. Lora podniosła go. Kot zamruczał i popatrzył na nią niebieskimi oczami, w których widniało wyraźne zadowolenie. Aż trudno było uwierzyć, że on i Boggle należą do tego samego gatunku zwierząt.

- Powiem ci coś - wyszeptała mu do ucha, podczas gdy kot przymykał błogo ślepią. - Jestem sprytniejsza niż Jon. I mam szczytne cele. Chodzi mi o szczęście mamy. W dodatku muszę odwrócić od siebie uwagę rodziny, zanim wy-

dadzą mnie za Bogu ducha winnego fryzjera męskiego. Albo za nastolatka. - Aż się wzdrygnęła na tę myśl. - Sam więc rozumiesz, że w tej sytuacji nie ma dla mnie znaczenia, czy Jon chce mi pokrzyżować plany, czy nie, bo i tak na to nie pozwolę.

- Nie słyszy cię - odezwał się za jej plecami Jon.

Lora, kompletnie zaskoczona, odwróciła się ku niemu.

- Frosty jest głuchy, to częsta przypadłość białych kotów z niebieskimi oczami. Gen, który powoduje, że kot jest albinosem, może też uszkodzić słuch. Właściciele Frosty'ego nie chcieli mieć głuchego kota, więc Victor wziął go do siebie - wyjaśnił Jon. - Wybrałaś sobie do zwierzeń niewłaściwe stworzenie.

Zrobiło jej się gorąco. Co zdołał usłyszeć? Delikatnie postawiła kota na podłodze.

- Wcale się nie zwierzałam. Skąd taki pomysł? Podśluchiwałaś?

Uśmiechnął się.

- Nie martw się, nie słyszałem ani słowa. Musimy porozmawiać. Chodź ze mną.

Skrzyżowała ramiona.

- Możemy porozmawiać tutaj.

- Nie. Wyjdźmy na zewnątrz.

- Jest już ciemno.

- Boisz się ciemności?

Ciebie się boję, miała ochotę odpowiedzieć. Nie powiedziała nic.

- Zapalimy lampę nad drzwiami - obiecał.

Wyszli na zewnątrz. Jon poprowadził ją zarośniętą ścieżką w głąb ogrodu ku niewielkiej altance. Musiało to kiedyś

być urocze miejsce, ale teraz biała farba łuszczyła się i opadała płatami, a przekrzywione i nieco chwiejne ławeczki skrzypiały, gdy się na nich siadało.

Zajęła miejsce naprzeciw Jona i kiedy on zbierał myśli, przyglądała mu się uważnie. Odblask światła z domu malowniczo kładł mu się na włosach i na kościach policzkowych. Dopiero teraz dotarło do niej, że Jon nie jest z Fern Glen. Jego spalone słońcem włosy i piękna opalenizna zdradzały, że przyjechał z południa, i to niedawno. Tu, na chłodnej i wilgotnej północy Zachodniego Wybrzeża, nie mógłby nabrać takiego wyglądu. Zwłaszcza w kwietniu. Chyba że uczęszczałby regularnie do solarium i rozjaśniał sobie włosy, ale to do niego nie pasowało.

Natychmiast wyobraziła go sobie na plaży w samych tylko kąpielówkach. Drobinę piasku na jego rozgrzanej słońcem skórze, zapach oliwki do opalania, łagodny powiew morskiej bryzy, w termosie koktajl margarita. Lora u jego boku...

Wszystko przez tę romantyczną altankę, gdzie siedzieli tylko we dwoje po ciemku, ukryci przed ludzkim wzrokiem. W takiej sytuacji każdy zacząłby snuć podobne fantazje.

Niestety, w jej głowie natychmiast wykuła się kolejna. Tym razem w roli głównej wystąpiła wspomniana altanka. Letni wieczór, upojna woń kwiatów, Jon...

Odchrząknął. Lora niemal podskoczyła z wrażenia.

Nadal nic nie mówił.

- Bardzo to interesujące, ale chyba teraz cię przeproszę i pójdę do... no, do łóżka. - Podniosła się z ławeczki.

- Przestań udawać - powiedział cicho.

Usiadła z powrotem.

- Słucham?

Teraz on wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem.

- Wiem, do czego zmierzasz.

Skąd wiedział? Widać jednak musiał ją podsłuchać!

- Wiesz?

- Tak. Victor jest wdowcem i postanowiłaś to wykorzystać. Zgadłem?

- Nie wiem, o czym mówisz - oznajmiła z oburzeniem.

- Dobra z ciebie aktorka, przyznaję. Kiedy zobaczyłem cię dziś rano, pomyślałem... No, nieważne, co pomyślałem. Okłamywałaś mnie od pierwszej chwili. Boggle nawet nie jest twoim kotem, prawda? To dlatego nic o nim nie wiedziałaś. Użyłaś go jako pretekstu, by móc zobaczyć się z Victorem. Gdy to nie wypaliło, wyciągnęłaś ze mnie informację, gdzie możesz go znaleźć. Zjawiłaś się u niego w szpitalu z kwiatami, których nikt z nas dla niego nie zabawił. Jak próbowałem do ciebie zadzwonić po południu, okazało się, że nie ma takiego numeru. A na koniec udało ci się wkłęcić do jego domu jako opiekunka.

Chociaż Jon praktycznie utrafił w sedno, Lora nadal udawała niewinną osobę urażoną bezpodstawnymi zarzutami.

- Bo szczerze się o niego martwię. I to nie ja urządzam ukradkowe spotkania za jego plecami. - Podniosła się również, ponieważ nie podobało jej się, że Jon patrzy na nią z góry. Nadal jednak patrzył na nią z góry, gdyż ona była drobna, a on wysoki, ale na to już nic nie mogła poradzić.

- Nie urządzam żadnych sekretnych spotkań.

- To czemu nie rozmawiamy w domu?

- Nie chcę martwić Victora.

- Ja przynajmniej traktuję go jak dorosłego - odpaliła.



Spiorunował ją wzrokiem.

- Posłuchaj. Victor Reed był najlepszym przyjacielem mojego ojca. To on zajmował się moim tatą, gdy ten zachorował i prawie nie mógł pracować. Kiedy to się działo, nie miałem o niczym bladego pojęcia, bo tata do ostatniej chwili ukrywał przede mną swój stan zdrowia, żeby mnie nie martwić. Mam wobec Victora ogromny dług wdzięczności. To wielki człowiek. I dlatego nie zamierzam patrzeć z założonymi rękami, jak próbujesz go uwieść dla jego pieniędzy.

Oczy jej się rozszerzyły ze zdumienia. Czy dobrze słyszała?

- Ja chcę uwieść doktora Reeda?

- Oczywiście.

Na chwilę odjęło jej mowę.

- Przecież to... idiotyczne! - wybuchła w końcu. - Mógłby być moim ojcem!

- Tak? To czemu go kokietowałaś w szpitalu?

- Ja? Ja nawet nie wiem, jak się kogoś kokietuje.

- Dziwne, bo całkiem dobrze ci szło. Trzepotałaś rękami, chichotałaś, przyniosłaś mu kwiatki, chciałaś się nim opiekować. Teraz podsuwasz mu pod nos jakieś smakołyki... Przez żołądek do serca, co? Zastawiłaś na niego sidła. Ale ja cię przejrzałem, więc pakuj manatki i wracaj do domu, zabawa skończona.

Z jednej strony podziwiała lojalność Jona wobec doktora Reeda, a z drugiej jego insynuacje obrażały ją.

- Przestań opowiadać głupstwa! Po pierwsze, jak wspomniałam, jest dla mnie za stary. Po drugie, nie przesadzaj z tą jego zamożnością, w końcu ile może zarobić weterynarz w małym miasteczku?

- Nie udawaj - zdenerwował się. - Jego żona była bogata, a on mądrze zainwestował pieniądze.

Hm, nie dało się zaprzeczyć, że stanowiło to dodatkowy bonus, ale wbrew pozorom nie aż taki duży.

- Jon, mylisz się co do mnie... Dobrze, pewne fakty się zgadzają, ale źle interpretujesz moje motywy.

- Wyjaśnij mi je więc.

- Nie - powiedziała spokojnie. - Nie widzę powodu, dla którego miałabym się przed tobą tłumaczyć. Nic musisz wiedzieć, czemu pożyczyłam kota. Fałszywy numer podałam ci tylko dlatego, że próbowałeś mnie podrywać, a ja na razie mam dość facetów.

- Wcale nie próbowałem cię podrywać.

- Chciałeś mój numer telefonu.

- Taki mamy zwyczaj w lecznicy. Już ci mówiłem.

- Och, daj spokój, Jon. Potrafię rozpoznać, kiedy ktoś ze mną flirtuje, uwierz mi.

Opadł na ławeczkę i popatrzył na Lorę z desperacją,

- Lora, albo jesteś największym łgarzem, jakiego znam, albo twój sposób myślenia jest odległy od mojego o lata świetlne.

Nieoczekiwanie zachciało jej się śmiać. Najchętniej wyznałaby mu całą prawdę i wtedy mogliby pośmiać się razem, xie nie miała gwarancji, czy Jon dochowa tajemnicy. Gdyby się wygadał, plan Lory, by wydać mamę za Victora Reeda, spaliłby na panewce.

Na widok jej uśmiechu Jon spochmurniał jeszcze bardziej. Niedobrze. Skoro już mieli mieszkać przez jakiś czas pod jednym dachem, wcale nie chciała mieć w nim wroga. Usiadła obok niego.

- Tak samo jak ty nie potrafiłabym skrzywdzić doktora Reeda - zapewniła.

Nagle zrozumiała, że siadanie przy nim nie było dobrym pomysłem. Ławeczka okazała się dość krótka, Jon znajdował się więc tuż obok niej, ich ramiona i uda stykały się. Czuła ciepło emanujące z jego ciała. Najbezpieczniej byłoby wstać i zająć miejsce naprzeciwko, ale skoro starała się zdobyć jego zaufanie, nie mogła zrywać się na równe nogi i odsuwać jak najdalej.

- Moje postępowanie mogło wyglądać trochę dziwnie, przyznaję - ciągnęła. - Ja jednak naprawdę bardzo lubię doktora Reeda i z całego serca życzę mu jak najlepiej. Nie miałam pojęcia, że jest zamożny i wcale mnie to nie obchodzi. Nie chcę jego pieniędzy ani domu, ani nic.

A co z jego najbliższym współpracownikiem, spytało coś w jej głowie. Czy jego też nie chcesz?

Nie, odpowiedziała sobie stanowczo.

- Chciałbym ci wierzyć. Niestety, fakty pozostają faktami. Zjawiłaś się w klinice z cudzym kotem, a potem w szpitalu z kwiatami, których nikt z nas nie zamawiał.

- Aleś ty uparty. Nie ustąpisz, co?

- Nie, bo zamierzam chronić Victora przed tobą.

Miała tego serdecznie dosyć. Zerwała się z ławki.

- Zawarłam z nim umowę i nie zamierzam rezygnować tylko dlatego, że masz jakieś teorie na mój temat. Potrzebuję tej pracy, muszę naprawić samochód, więc odczep się ode mnie, dobra?

- A więc jednak chodzi o pieniądze. Dobra, dam ci tyle, ile on ma ci zapłacić, tylko zostaw go w spokoju.

- Wolę na nie uczciwie zapracować.

Podniósł się również i spojrzął na nią ponuro.

- Ostrzegam cię, Lora. Zostanę tu tak długo jak ty i cały czas będę miał cię na oku.

Wzruszyła ramionami, odwróciła się na pięcie i zawróciła do domu. Jego pogrożka wcale jej nie zmartwiła, przeciwnie. Będzie cały czas miał ją na oku? Hm, to brzmiało obiecująco. Nawet jeśli nie była zainteresowana...

Wiedziała, że za nią patrzył, więc postanowiła dać mu małą nauczkę i szła uwodzicielskim krokiem, leciutko kołysząc biodrami.

I co pan na to, panie mądraliński?

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Czym mogę służyć?

Jon Woods zamknął za sobą szklane drzwi, odwrócił się i ujrzał okraglutką starszą panią o mlecznobiałych włosach i niebieskich oczach. Wytarła dłonie w żółty firmowy fartuch z napisem „Kwiaciarnia LORA” i przechyliwszy głowę na bok, zlustrowała go od stóp do głów. Miał wrażenie, jakby sprawdzała, czy się nadawał... ale do czego?

- Potrzebne mi kwiaty.

- Chodzi o jakąś prostą wiązanekę czy o coś specjalnego? Jeśli to drugie, do tego potrzebna będzie moja wnuczka. Ach, młody człowieku, powinien pan zobaczyć, jak Lora układa kwiaty! Ta dziewczyna umie zrobić coś z niczego. - Zerknęła na zegarek. - Właśnie pojechała dostarczyć zamówione bukiety, ale wróci za niecałą godzinę. Niech pan na nią zaczeka, poczęstuję pana herbatką... - Spojrzała na niego pytająco.

Uśmiechnął się. Starsza pani powiedziała to wszystko tak szybko, że aż zabrakło jej tchu.

- Dziękuję. Po prostu potrzebne mi kwiaty.

- Dla żony?

- Dla zaprzyjaźnionej osoby - odparł gładko.

- Aha. Jakie i ile?

- A czy państwo wyślą do Los Angeles te, które wybiorę na miejscu?

- Och, nie! Nie wysyła się kwiatów tak daleko. Pan wybiera bukiet z katalogu, a my wysyłamy faks do współpracującej z nami kwiaciarni w konkretnym mieście. - Podsunęła mu opasły segregator. - Proszę.

Jon nie zamierzał tracić czasu na przeglądanie zdjęć niezliczonych bukietów i zastanawianie się nad wyborem.

- A nie mogę po prostu zamówić tuzina białych róż? Na jak najdłuższych łodygach. Zapakowanych w podłużne pudełko.

- Bardzo elegancko - pochwaliła z uznaniem starsza pani i wyjęła z szuflady formularz zamówienia.

Jon sięgnął do portfela i podał jej swoją platynową kartę.

- To musi być chyba bardzo miło móc pracować razem z wnuczką. W obecnych czasach nieczęsto się to zdarza - zauważył od niechcenia.

- O, tak, bardzo miło. Lora to kochana dziewczyna. I jaka śliczna! Trudno uwierzyć, że jest jeszcze niezamężna. Wszystko przez tego byłego narzeczonego, Calvina. Wyjechał. Teraz ona nie chce się z nikim spotykać. Ale przejdzie jej, jak tylko pojawi się ktoś odpowiedni. Zobaczy pan.

Jon nadstawił uszu. Słusznie wyczuł, że tę dziewczynę ktoś zranił. Czy dlatego postanowiła zapolować na kogoś starszego, bo zawiodła się na młodszym?

- Ja już ją chyba widziałem. Rzeczywiście, jest bardzo atrakcyjna.

- Ma to po matce i po prababce. Tylko ja jedna się wy--dziłam.

- Pozwolę sobie nie zgodzić się z panią - odparł z galanterią.

Starsza pani zarumieniła się.

- Te róże muszą być dla jakiejś wyjątkowej damy. Dla pańskiej matki?

Jon nawet nie mrugnął, choć intencje starszej pani były dla niego oczywiste.

- Nie. Wracając do Lory...

- Mogłabym jej szepnąć za panem słówko. Ta dziewczyna ma tyle planów, ale powoli dojrzewa do tego, by się ustatkować. Była przecież gotowa wyjść za Calvina i wyszłaby za tego nicponia, gdyby nie wyjechał. Myślę, że nawet w naszych nowoczesnych czasach kobieta potrzebuje mężczyzny, który się nią zaopiekuje. A pan jak uważa?

- Szczerze mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym.

Musiał dać złą odpowiedź, bo starsza pani cmoknęła z dezaprobatą.

- Młody człowieku, czy należy pan do tych mężczyzn, co to uważają, że nowoczesna kobieta ma i pracować zarobkowo, i prowadzić dom, i zajmować się dziećmi?

- Moim zdaniem wszystko zależy od tego, czego kobieta chce - odparł dyplomatycznie.

- Aha. - Starsza pani oddała mu kartę.

Wyczuł, że stracił w jej oczach, dodał więc pośpiesznie:

- Osobiście jestem zwolennikiem tradycyjnego podziału ról. Chciałbym, by moja przyszła żona zajmowała się wyłącznie domem. - Ledwo przeszło mu to przez gardło. Już widział, jak Trina zajmuje się domem! Dla niej zajmowanie się domem oznaczało zatrudnienie sprzątaczkii.

Starsza pani uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Piękna marynarka. To kaszmir? Musiała dużo kosztować. Na pewno nie kupił jej pan w Fern Glen, tu się nie dostanie takich rzeczy.

Marynarka rzeczywiście kosztowała krocie, ale Trina lubiła, gdy ubierała się elegancko. W ogóle lubiła wszystko, co najlepsze.

Spotkali się, gdy przyprowadziła swojego psa do lecznicy w Beverly Hills, gdzie Jon pracował. Jej ulubieniec, Bitsy, był już dość wiekowy i zaczął dziwnie kasać. Okazało się, że szkodził mu dym papierosowy, zaś nowy partner Triny palił. Zerwała z nim w jednej chwili, a ponieważ Jon nie posiadał żadnych niebezpiecznych dla Bitsy'ego nawyków, wtargnęła w jego życie jak tornado.

Nie miał nic przeciw temu. Długonoga piękność o zmysłowym głósie przedstawiła go wszystkim swoim znajomym, zabierała go na przyjęcia w Hollywood i zrobiła mu wspaniałą reklamę, przysparzając klientów. Stał się niezwykle popularny wśród bogatych kobiet w mniejszym lub większym stopniu zwariowanych na punkcie swoich psów i kósów. Trina nadała jego życiu tempa. Miał jej właśnie zaproponować, by zamieszkali razem, gdy jego ojciec zmarł.

- Musi pan dobrze zarabiać - kontynuowała starsza pani.

Spojrzał na nią podejrzliwie. Czyżby szukała dla swojej wnuczki bogatego męża? Czy Lora przejęła od niej taką postawę?

Szkoda. To była bardzo promienna dziewczyna, ujmująco świeża. Nawet gdy coś zmyślała w odpowiedzi, uroczo przygryzała dolną wargę, jakby gnębiły ją wyrzuty sumienia.

I była naprawdę śliczna, choć w zupełnie inny sposób niż Trina. W powyciąganym swetrze wyglądała trochę jak sierotka, ale... Ale w tej altance musiał sobie parokrotnie powtórzyć, że wcale nie jest nią zainteresowany. Raz czy dwa, gdy podniosła na niego wzrok, serce zabiło mu nieco



szybciej. Może faktycznie próbował z nią flirtować w lecznicy, choć wcale nie był tego świadomy?

Musi wieczorem zadzwonić do Triny i poprosić, by przyjechała tu do niego na północ, by nieco mu osłodzić to paromiesięczne wygnanie. Oczywiście ta miejscina na smaganim wichrami wybrzeżu nie wzbudzi jej entuzjazmu i znudzi ją, podobnie jak i jego, ale ze względu na Jona pewnie wytrzyma tutaj trochę.

A co do Lory... Czemu zastawiła sidła właśnie na Victora? Ta przyjaciółka od setera musiała jej naopowiadać, jaki to mity starszy pan... I z pieniędzmi. Jon rozejrzał się po kwaciarni. Mimo starań właścicielek wyglądała dość biednie. .

- Bardzo miła ta pani kwaciarnia - rzucił.

- Należy do mojej córki. Trudno jest się utrzymać, wie pan. Zwłaszcza odkąd zięć odszedł i zostawił wszystko na głowie mojej Angeli. - Podsunęła mu formularz do podpisania i dodała, zniżając głos: - Ale będzie lepiej. Lora tak mówi. Podobno ma jakiś plan, który postawi nas na nogi.

- Jaki plan?

- Nie wiem, nie chce powiedzieć. A pan? Co pan robi?

- Leczę...

- Jest pan lekarzem? To wspaniale!

- To znaczy...

Starsza pani, bardzo podekscytowana, nie słuchała go.

- A nie potrzebuje pan świeżych kwiatów w recepcji? To jest praktykowane w najlepszych prywatnych gabinetach. *Właśnie nie sztuczne kwiaty, tylko świeże. To robi dobre wrażenie na pacjentach. Moglibyśmy zawrzeć umowę na regularne dostawy.*

Nim Jon się spostrzegł, starsza pani zdołała go namówić na całoroczną dostawę kwiatów do lecznicy. Nie wiedział, czemu się zgodził. Może go zagadała. Może potrzebował pretekstu, by mieć oko na Lorę, nawet jeśli ta wyprowadzi się od Victora.

A może po prostu upadł na głowę.

Usiadł za kierownicą swojego porsche i zastanowił się. Wszystko układało się w logiczną całość. Po pierwsze, jakiś facet imieniem Calvin rzucił Lorę. Po drugie, kwiaciarnia jej matki ledwo przędła. Po trzecie, Lora obiecała, że zadba o finanse i uratuje rodzinny biznes. Cóż prostszego niż wydać się za bogatego starszego mężczyznę, który chętnie pojmie za żonę śliczną młodą dziewczynę? Taki na pewno jej nie zostawi, a i wyłoży pieniądze *na* kwiaciarnię teściowej.

Ponuro pokiwał głową. Niestety, miał rację.

Wolałby jej nie mieć.

Wieczorem zaoferował, że on pozmywa, skoro Lora przygotowała kolację. Pięknie nakryła do stołu, przyozdobiła go jakimiś różowymi kwiatami, które zerwała w ogrodzie i podała wyśmienitą zapiekankę z beszamelem. Przy posiłku zabawiała doktora Reeda opowiadaniem różnych historii dotyczących głównie jej matki.

Jon obserwował ją bacznie. Nie tylko nie mówiła o sobie- ale też nie strzelała do Victora oczami i ani razu go nie dotknęła. Hm. Nietypowy sposób uwodzenia, lecz skuteczny, ponieważ jego przyjaciel był kompletnie zauroczony tą małą ślicznotką. Nic dziwnego zresztą, bo wyglądała cudownie!

Tym razem porzuciła sweter i džinsy na rzecz zwiewnej

zielononiebieskiej sukienki, która miała pod spodem nieprzejrzystą turkusową halkę. Halka wystawała spod sukienki, więc wyglądało to jednocześnie niewinnie i kusząco. Co chwila cienkie ramiączko zsuwało się Lorze z ramienia, a ona poprawiała je z taką miną, jakby nigdy nic. Jon wołał iść do kuchni i zmywać, by nie wpatrywać się w nią niczym sroka w gnat.

Tak, koniecznie musi zadzwonić do Triny.

- Pomóc ci?

Nawet nie odwrócił się do niej.

- Nie trzeba. - Skoncentrował się na szorowaniu rondla.

Lora zjawiła się u jego boku z czystą ściereczką w dłoni.

- To ja powycieram.

Nie odezwał się. Może wreszcie do niej dotrze, że woli być sam.

- Wyobraź sobie moje zaskoczenie... - zaczęła konwersacyjnym tonem, sięgając do suszarki na naczynia po ociejkający wodą talerz ...gdy wróciłam dziś do kwiaciarni i dowiedziałam się, że zamówiłeś u nas roczną dostawę świeżych kwiatów. Co więcej, podpisałeś z babcią umowę. Chyba nie doceniałyśmy jej talentów marketingowych.

Zerknął na nią, i to był błąd. Dzięki sukience jej oczy wydawały się jeszcze bardziej zielone.

- A nie musiałem podpisywać?

- Nie. Ale teraz już za późno, nie możesz się wycofać.

- Twoja babcia nie powiedziała mi, że nie muszę się deklarować na cały rok z góry.

- Tak samo jak ty jej nie powiedziałeś, że mnie znasz. Jak widać, jedno warte drugiego. Zresztą, dobrze ci tak. To kara za szpiegowanie mnie.

- Nie szpiegowałem, poszedłem po kwiaty.

- Dla Triny Odell z Beverly Hills. Babcia nie zdołała wycisnąć z ciebie bliższych szczegółów na jej temat i zastanawia się, czy z ciebie nie jest jakiś playboy, skoro jeszcze się nie ożeniłeś. Ile ty masz łąt?

- Trzydzieści trzy.

Sięgnęła po kolejny talerz.

- Właśnie. Trzydzieści trzy lata i wciąż samotny. To rzeczywiście podejrzan. Wiem od doktora Reeda, że nigdy nie byłeś żonaty.

- No i kto tu kogo szpieguje?

- O, przepraszam, ja tylko wyrównuję rachunki. Przeszedłeś do kwiaciarni pociągnąć babcię za język.

- Akurat jej nie trzeba ciągnąć... Sama wszystko powie.

- Ale ty to jeszcze wykorzystałeś, żeby uzyskać jak najwięcej informacji.

Gdy to mówiła, wzrok Jona bezwiednie przesunął się z oczu Lory na jej usta.

Jak mógł do tej pory nie zauważyć, jakie są ponętne? Były pełne i miękkie jak soczyste owoce, więc aż kusiło, by ich skosztować. Pospiesznie odwrócił wzrok i gwałtownie zaczął trzeć brudny rondel, kompletnie oszołomiony swoim odkryciem - chciał ją pocałować! Nie mógł myśleć o niczym innym. Z desperacją zaczął sobie powtarzać w myślach numer do Triny.

Chwytał butelkę z płynem do mycia naczyń, gwałtownie wlał do pełnego zlewu chyba połowę jej zawartości i wziął się za szorowanie rondla tak zawzięcie, że wytworzyła się góra piany. Zaczął go od tego swędzieć nos. Próbował potrząsnąć go ramieniem, ale nic nie pomagało.

- Gdzie cię swędzi? - spytała.
- Na nosie, po lewej stronie, ale nie...

Uniosła rękę i delikatnie potarła jego skórę. Jej palce były ciepłe, przyjemne w dotyku. Wcale jej się nie spieszyło, by cofnąć dłoń. Ich spojrzenia zetknęły się.

Lora uśmiechnęła się i opuściła rękę.

- No, powiedz mi, czemu się nie ożeniłeś. Albo nie, sama zgadnę. Chodzi o tę Trinę z Beverly Hills. Tleniona blondynka. Długie nogi. I ma czym oddychać.

Roześmiał się.

- Zgadza się. Skąd wiedziałaś?
- Kobięca intuicja. To stamtąd jesteś? Z Beverly Hills?
- Tak.
- I rozumiem, że od jakiegoś czasu jesteś z Triną?
- Od dwóch lat.
- To sporo. Pewnie zaczęła mówić o ślubie i dzieciach.

Wpadłeś w panikę i uciekłeś jak najdalej, a teraz wysyłasz jej kwiaty na przeprosiny.

Pokręcił głową.

- Zimno, zimno, coraz zimniej, brr...  
- Dobra, to w takim razie ty chciałeś się żenić. Kazała ci spadać, przyjechałeś tutaj, ale wciąż masz nadzieję, że ją do siebie przekonasz i stąd te białe róże.

- Nie, te róże są dla niej tak po prostu. Między nami wszystko jest w najlepszym porządku - oznajmił.

- To czemu przeprowadziłeś się tak daleko od niej?

- Nie przeprowadziłem się. Ja tylko tymczasowo zastępuję Victora, przyjechałem na dwa i pół miesiąca.

Lora milczała, kompletnie zaskoczona. Jon zrozumiał, że miała go za nowego mieszkańca Fern Glen.

- Nawet nie mógłbym się tu przenieść - dodał. - Trina nie wytrzymałaby tutaj długo.

- A niby czemu miałyby jej się tu nie podobać?

- Jak by to powiedzieć... To miastowa dziewczyna.

- A tu nie miałyby rozrywek.

- Właśnie. W dodatku tam ma grono przyjaciół i dobrą pracę w studiu filmowym. Może nawet kiedyś uda jej się zagrać w filmie. Marzy o tym.

- A ty?

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Jestem weterynarzem i nie chcę robić nic innego.

Przyglądała mu się uważnie.

- Pewnie za nią tęsknisz.

- Tak. Zamierzam do niej zadzwonić i poprosić, żeby przyjechała tu do mnie na trochę.

- Już widzę, jak będzie zachwycona naszym prowincjonalnym kinem, wiecznie zamgloną plażą, hektarami sekwoi dookoła i wilgocią, od której będą jej się zwijać modnie wyprostowane włosy. Będzie wściekła.

Jon zjeżył się.

- A skąd ty możesz wiedzieć, jaka ona jest? Nie znasz jej. To świetna dziewczyna.

- Ożenisz się z nią?

Zrobiło mu się nieprzyjemnie gorąco.

- Chwileczkę! - zaprotestował dość gwałtownie. - To naprawdę nie twoja sprawa.

Owszem, ostatnio myślał o małżeństwie, ponieważ douczwała mu samotność, ale po co od razu mówić o tym na głos?

- Przepraszam, masz rację - powiedziała cicho. - Co

ja mogę wiedzieć? Przez całe życie mieszkałam w Fern Glen.

Próbował sobie wyobrazić, co to znaczy spędzić całą młodość w małym miasteczku położonym na brzegu zimnego oceanu, zasłoniętym przed światem ścianą potężnych sekwoi, lecz nie potrafił. Nawet nie miał pojęcia, że takie miejsce istnieje, dopóki jego ojciec nie przeprowadził się tutaj. On sam dorastał w San Francisco, miał zaledwie kilka przystanków do centrum i wszystkich atrakcji, jakie oferuje wielka metropolia.

- Nie potrafię wyszorować tego garnka, poddaję się - oznajmił. - Dobra, teraz ty mi powiedz, czemu jeszcze nie jesteś zamężna.

- Jeszcze? Mam dopiero dwadzieścia cztery lata. Dwadzieścia pięć skończę w czerwcu.

- Nie przesadzaj, wiele kobiet w tym wieku ma już rodzinę. Tylko nie mów mi, że nie miałaś okazji, bo nie uwierzę.

Nie odpowiadając, zaczęła szorować przypalony rondel.

- Czy to z winy twojego byłego narzeczonego Calvina?

Poderwała głowę i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Babcia powiedziała ci o nim?!

- Tak. I o twoich rodzicach też.

Westchnęła ciężko, a wtedy materiał sukienki napiął się lekko na jej piersiach, sugerując, że wdzięki Lory są jednak pełniejsze, niż Jon sobie wyobrażał. Właśnie. W ogóle niepotrzebnie sobie wyobrażał różne rzeczy...

- Skoro twój tata odszedł od was, to pewnie nie bardzo wierzysz w małżeństwo?

- Moi rodzice w ogóle nie powinni byli się pobierać. Są jak ogień i woda.

- To czemu wzięli ślub?

- Z miłości. Byli w sobie zakochani, ale z upływem czasu uczucie chyba wygasło. Chciałabym, żeby mama była znów szczęśliwa. Zasluguje na to. Jest bardzo piękna, nie tylko zewnątrz. Chociaż życie jej nie rozpieszczęło, nie ma w niej nawet cienia gorzkości.

Jon rozumiał jej oddanie dla matki. Jego mama zmarła przed dziesięcioma laty. Gdyby nadal żyła, też by się o nią martwił, kiedy zostałaby sama, bez męża. Rozumiał Lorę. Rozumiał jej motywy...

- Ta kwaciarnia to teraz całe jej życie, prawda?

- Jakbyś zgadł.

- Twoja babcia mówi, że masz jakiś tajemniczy plan, który pomoże wam finansowo.

Westchnęła ciężko, lecz zaraz potem uśmiechnęła się z czułością.

- Ależ to gaduła!

- Oczywiście dla mnie twój plan nie jest żadną tajemnicą.

Lora gwałtownie potrząsnęła głową, a na skądach jej czarnych włosów, na które padało światło lampy, zapaliły się tysiące błysków.

- Tylko ja wiem, na czym polega mój plan, a tobie się tylko wydaje - oznajmiła twardo.

Jon nie naciskał.

- Opowiedz mi o Calvinie.

Wymownie wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że w ogóle nie ma o czym gadać. Znowu zsunęło jej się



ramiączko, a Jona aż zaświerbiały palce, by je poprawić. Zapanowało milczenie.

Lora doprowadziła rondel do porządku, wytarła dłonie w ściereczkę i odwróciła się do Jona.

- Chciałam cię prosić o przysługę.

- Już się boję.

- Mimo wszystko całkiem przypadłeś do gustu mojej babci. To mi podsuwa pewien pomysł...

Jon starał się omijać wzrokiem niesforne ramiączko.

- Wiem, że masz dziewczynę i jestem ostatnią osobą, która chciałaby namawiać cię na zdradzanie Triny, więc moja propozycja nie ma żadnych podtekstów. Czy mógłbyś czasem zjawiać się kwiaciarni i udawać zainteresowanego?

Jon zdębiał.

- Nie rozumiem...

- Po prostu wpadnij parę razy w czasie lunchu, powiedz do mnie „kotku” albo zaproś na kolację, oczywiście na niby. Widzisz, mama i babcia koniecznie chcą mnie wydać za mąż i umawiają mnie ze wszystkimi naokoło. A ja mam ważniejsze rzeczy na głowie i potrzebuję trochę spokoju! Gdyby zobaczyły mnie z kimś, przestałyby mnie wreszcie swatać. Czy nie zechciałbyś mnie poratować i trochę po-udawać mojej sympatii? Nie mogę o to poprosić nikogo innego, bo weźmie to na poważnie. Ty nie, bo wiesz, że między nami nic nie będzie.

Na szczęście poprawiła ramiączko, dzięki czemu mógł znowu zacząć myśleć, ale i tak nie potrafił rozszyfrować jej motywów. Czy ta „ważniejsza rzecz” to było złapanie Victora? Zamierzała skupić się na tym jednym tylko celu i nie chciała, by cokolwiek jej przeszkadzało?

Nagle uświadomił sobie, że jeśli będzie udawał zakochanego w Lorze, to ochroni Victora, któremu nie przyjdzie do głowy oświadczać się dziewczynie przyjaciela.

- W porządku.

Rozpromieniła się, po czym zrobiła coś nieoczekiwanego - lekko oparła dłonie na jego ramionach, wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Poczuł delikatny zapach jej perfum.

Już miał ją objąć, gdy się cofnęła.

- Dziękuję, Jon. Dobranoc.

Dopiero gdy wyszła, uświadomił sobie, że w końcu nie udało mu się niczego z niej wyciągnąć. Kompletnie zbiła go z tropu tym pocałunkiem. Jej wargi, których widok przywodził mu na myśl owoce, w dotyku przypominały świeże i wilgotne płatki kwiatu.

Zupełnie już nie wiedział, co o niej myśleć.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Lora zamknęła za sobą drzwi sypialni i uśmiechnęła się triumfująco. Ten pocałunek zrobił na Jonie wrażenie!

Spoważniała nagle, gdy zrozumiała, że na niej też.

Co jej właściwie strzeliło do głowy, by proponować mu udawanie pary? Czy to nie dlatego, że wspomniał o Calvinie? Na samą myśl o byłym narzeczonym zaczynała się czuć tak, jakby ją wsadzono do ciasnej klatki. Dla niego jej plany w ogóle się nie liczyły. Kobieta miała wyznaczone sobie miejsce i koniec.

Bała się, że mama i babcia znajdą jej kolejnego Calvina, który będzie chciał ją przykroić do swoich oczekiwań. Na szczęście teraz będzie mogła zasłonić się Jonem. Zdjęła sukienkę, rzuciła ją na oparcie krzesła i przebrała się w sięgający do kolan T-shirt, służący jej za koszulkę nocną. Uśmiechnęła się ponownie. Ach, ten Jon! Dało się w nim czytać jak w otwartej księdze. Zgodził się udawać jej nową sympatię, by udaremnić rzekome zakusy na doktora Reeda. Poświęcił się dla przyjaciela.

Umyła zęby w przylegającej do sypialni łazience i wślizgnęła się pod kołdrę. Nie mogła jednak zasnąć. Przykro jej było, że Jon ma ją za osobę podstępną i wyrachowaną. Ale właściwie czemu miałyby ją obchodzić, co on sobie o niej myśli?

Rzecz w tym, że Jon był naprawdę wspaniałym człowiekiem. Zostawił na jakiś czas własną praktykę i przyjechał do odległej miejsciny, by pomóc przyjacielowi ojca. Starął się też chronić go przed niebezpieczeństwem - co prawda żadne niebezpieczeństwo ze strony Lory nie istniało, lecz Jon miał jak najlepsze intencje. I był lojalny wobec swojej przyjaciółki, bronił jej przecież, gdy Lora wygłosiła kąśliwą uwagę na temat kobiet z wielkiego miasta.

Potem zaczęła myśleć o tacie. Czy to w porządku wobec niego swatać mamę z kim innym?

Och, nie przesadzajmy. W końcu to on je zostawił, to on wniósł o rozwód i to on wspominał w ostatnim liście do córki, że wyjeżdża z San Diego na jakiś czas, by zobaczyć się z pewną kobietą, z którą chciałby się związać. Skoro tak...

Zacisnęła powieki, by wreszcie zasnąć, ale ku jej przerażeniu wyobraźnia natychmiast podsunęła jej przed oczy obraz Jona. Przypomniało jej się, jak na nią patrzył, jak jego mięśnie grały pod koszulą, gdy zawzięcie szorował rondel... Szybko otworzyła oczy.

- Ty lepiej uważaj - przykazała sama sobie.

Stało się dla niej jasne, że od tej pory nie ma mowy o żadnych pocałunkach. Nie igra się z ogniem.

Następnego dnia przed południem do domu doktora Reeda przyjechały mama z babcią, by pomóc przy plewieniu ogrodu. Był wyjątkowo piękny wiosenny dzień, bez typowych dla tej okolicy wiatru, deszczu i mgły.

Angela Gifford w prostych rybackich khaki i białym swetrze niedbale zarzuconym na ramiona wyglądała młodo i świeżo. Babcia Ella, ubrana w szafirowy T-shirt, żółty ku-

braczek, czerwone szorty do kolan i białe tenisówki, przypominała wielką kolorową piłkę plażową. Wyjątkową piłkę, bo bardzo gadatliwą i bardzo kochaną.

Obie panie od razu zabrały się za plewienie, a tymczasem Lora przygotowała lunch na cztery osoby i pomogła doktorowi Reedowi przejść z sypialni na piętrze na taras w ogrodzie, co zajęło trochę, czasu. Gdy już wszyscy się poznali, zasiedli do posiłku. W naturalny sposób rozmowa zeszła na sprawy związane z ogrodnictwem.

- Lora ma szklarnię za domem, ale zamyka ją na klucz i nie wolno nam tam wchodzić - wyjawiała Angela. - A mogłybyśmy tam wyhodować piękne pomidory!

Babcia cmoknęła po swojemu i sięgnęła po kanapkę z wędliną.

- I nie chce nam powiedzieć, co tam robi codziennie rano i przez pół weekendu.

- Może chowa się przed nami, żeby mieć święty spokój.

- Angela spojrzała na córkę wymownym wzrokiem.

- Albo uprawia marihuanę - podpowiedziała Ella.

- Jest taka sama jak jej ojciec. On też miał zawsze głowę pełną projektów.

Mamo, czy musisz wspominać o tacie, jęknęła w myślach Lora.

- Wcale nie jestem taka sama - zaprotestowała gwałtownie.

- Ależ jesteś. Przypomnij sobie, jak udoskonalał sposób zakładania przynęt czy usprawniał silnik łódki.

- Kiedyś chodziłem na ryby z pani mężem - wtrącił doktor Reed. - Nie wiem, czy Lora wspominała pani o tym.

Angela posłała mu promienny uśmiech.

- Z byłym mężem - poprawiła Lora z naciskiem.
- Jeszcze nie - skorygowała z kolei jej mama. - Według przepisów rozwód uprawomocni się dopiero za miesiąc.
- Zwróciła się z powrotem do gospodarza: - Nie wiedziałam, że zna pan George'a. Miło mi to słyszeć.

Lora miała ochotę zatkać mamie usta.

- Dawne czasy. Spotykaliśmy się z nim na przystani, ja i moi dwaj chłopcy. Zawsze łowił większe ryby niż ja. To był znakomity wędkarz.

Angela roześmiała się z czułością. Z czułością! Lora była o włos od tłuczenia głową o najbliższą ścianę. Co ta mama wyprawia?

- A jak gotował! Wie pan, to on mnie nauczył smażyć łososia. Tak, George miał wiele talentów.

- W tym talent do zostawienia rodziny - skwitowała przytomnie babcia. - Wiesz co, drogi Victorze? - zaczęła, a zdaniem Lory brzmiało to tak, jakby zdążyła już zaakceptować doktora jako obiecujący materiał na zięcia. - Myślę, że ta grządka, którą zdążyliśmy wypławić, świetnie by się nadawała na urządzenie małego warzywnika.

- O ile dobrze pamiętam, moja żona używała jej właśnie w tym celu - odparł, biorąc od Angeli talerz, na który nałożyła mu jedzenie.

Czy Lorze tylko się zdawało, czy doktor rzeczywiście dotknął przy tym palców jej mamy, a ona uśmiechnęła się leciutko?

W tym momencie na taras wyrzał Jon, któremu towarzyszyły wszystkie psy i biały kot. Lorze wystarczyło spojrzeć na Jona, by natychmiast przypomnieć sobie wczorajszy pocałunek. Szybko odwróciła wzrok.

- Chodź i zjedz z nami! - zawołał doktor Reed.

Jon odpowiedział za pomocą gestu, że za chwilę dołączy do towarzystwa, po czym wziął na ręce białego kota i znikł w głębi domu.

- Ma chłopak wyczucie do zwierząt - zauważył stary weterynarz.

- A jaki z niego przystojniak - dodała babcia, zerkając na Lore, bardzo zajęta nakładaniem sobie jedzenia.

Doktor roześmiał się swoim wspaniałym tubalnym śmiechem wilka morskiego.

- Panie na pewno potrafia to ocenić lepiej ode mnie! To syn mojego przyjaciela, Douga, z którym pracowałem razem przez piętnaście lat. Biedak zmarł przed miesiącem, miał kłopoty z sercem, w końcu nie wytrzymało. Jon przyjechał zastąpić ojca przez jakiś czas. Wyobraźcie panie sobie, zostawił na parę miesięcy swoją praktykę w Beverly Hills, żeby mi pomóc! A świetnie mu się tam powodzi, ma znakomitą renomę. Nic dziwnego, zna się na zwierzętach nawet lepiej niż jego ojciec. Czasem mam wrażenie, że potrafi z nimi rozmawiać.

Babcia zdumiała się.

- To on nie leczy ludzi?

- Nie. I ja też nie, Elloise.

Lora po raz pierwszy słyszała, jak ktoś zwraca się do jej babci pełnym imieniem. To. pewnie jednak nie ugłaska babci na tyle, by ugryzła się w język i nie powiedziała wprost, co myśli. Ani chybi zaraz da upust swojemu rozczarowaniu faktem, że Jon nie jest „prawdziwym” lekarzem.

- Pomaganie Bożym stworzeniom to bardzo godne zajęcie - wygłosiła nieoczekiwanie babcia. - Nie rozumiem

tylko, po co w takim razie zamówił kwiaty do lecznicy dla zwierząt... Tak czy siak, będzie wam z tym przyjemniej.

Jon właśnie przyszedł się przywitać. Lora łypnęła na niego ponuro, zabrała swój talerz i przysiadła na ławce w kącie tarasu. Czy on nie mógł być brzydki i pokraczny? Wtedy nie miałyby problemu. A zwierzętom przecież wszystko jedno, jak wygląda ich lekarz.

- Szkoda, że Jon nie zostanie w Fern Glen - zauważył doktor Reed. - Przydałby się ktoś taki w naszej społeczności. Dużo bym dał za to, żeby nie wyjechał.

Lora z kolei nie mogła się tego doczekać. Jeśli o nią chodzi, mogłoby wyjechać choćby zaraz. Im dalej, tym lepiej.

On tymczasem usiadł ze swoim talerzem na ławce tuż obok niej.

- Masz bardzo ładną mamę - zauważył z uśmiechem.  
- Chyba właśnie kłóci się z Victorem.

Lora w popłochu spojrzała w ich stronę. Faktycznie, gestykulowali dość żywo, spierając się o to, czy w tym klimacie mogą udać się brokuły. No, jeśli mama zaczyna od sporu... Nagle zrobiło jej się zimno. A jeśli mama, chociaż piękna i kochana, wcale nie była takim aniołem? Jeśli to nie tylko tata ponosił całą odpowiedzialność za napiętą atmosferę, jaka panowała w ich domu przez te wszystkie lata?

Tymczasem psy odkryły, że Ella ma miękkie serce i obiadły ją kołem, czekając, aż poda im kolejny kawałek szynki lub indyka.

- Twoja babcia jest słodka - odezwał się nagle Jon.

W duchu przyznała mu rację.

- Martwię się, że ona wciąż tęskni za dziadkiem, chociaż umarł już bardzo dawno temu.



Jon ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Mój ojciec nigdy nie przebolewał śmierci mojej mamy. Niektórzy ludzie są po prostu stworzeni dla siebie.

- A ja mam jednak nadzieję, że babcia jeszcze się zakocha.

- Ma jakiegoś adoratora?

- Przychodzi do nas regularnie pewien elegancki pan, co tydzień kupuje kwiaty dla swojej wiekowej matki i bardzo lubi babcię. Ale jej przeszkadza jego łysina, w dodatku piegowata. Jeszcze inny starszy pan zawsze zagląda przez okno do kwiaciarni, gdy idzie do sklepiku na rogu. Jeśli nie chodzi o babcię, to znaczy, że moja rodzina zaczęła mnie swatać nie tylko z nastolatkami, ale i z emerytami...

- Przecież lubisz starszych panów.

Zirytowała się.

- Dałbyś wreszcie spokój!

- A co z umawianiem się ze mną?

- Wpadnij w przyszłym tygodniu do kwiaciarni... - zaczęła, ale nie dał jej dokończyć.

- Po co czekać? Wszyscy są na miejscu. - Ujął jeden z jej loków i okręcił go sobie na palcu.

- Co ty wyprawiasz? - szepnęła.

- Udaję zainteresowanego.

Próbowała się odsunąć.

- Przestań!

- Och, nie udawaj. Czy ten wczorajszy pocałunek nie narobił ci apetytu na więcej? Bo mnie tak. - Nie czekając na odpowiedź, pocałował ją.

Lora zauważyła kątem oka, że pozostała trójka z ciekawością zerka w ich stronę. Zarumieniła się po same uszy. Miała ochotę zawołać: To nie jest tak, jak myślicie!

- Pójdę dokroić chleba - wymamrotała, odsunawszy się od Jona, i szybko wyszła do kuchni.

Niedobrze! Jon odkrył, że jednak robił na niej pewne wrażenie! Zawstydzona i zbita z tropu, bezradnie rozejrzała się po kuchni. Po co ona tu przyszła?

Złapała kluczyki od furgonetki i uciekła zamknąć się na cztery spusty w szklarni.

Jon łagodnie poczochnął uszy małej biało-rudej kotki, tak okrągłej, że w tej chwili nie mogła uchodzić za kocią piękność. Za to jej właścicielka była wyjątkowo atrakcyjną smukłą brunetką o ciemnych oczach w kształcie migdałów.

- Ktoś podrzucił nam ją do ogrodu. Mąż ją przygarnął, ale ona pewnie ma raka, skoro jest taka spuchnięta. Trzeba ją uspić.

- Nie ma raka, tylko jest w ciąży, i to bardzo zaawansowanej - wyjaśnił Jon.' - Jest bardzo młoda, nie ma nawet roku.

Kotka, *mrucząc*, potarła łebkiem o jego *dłoń*, a potem polizała ją. Uśmiechnął się do niej. Miała wyjątkowo uroczy pyszczek.

- Będzie miała kocięta? Ile?

- Tego nie mogę powiedzieć. Ale już niedługo. U kotów ciąża trwa około dziewięciu tygodni. Czy zauważyła pani, kiedy zaczęły jej czerwienieć sutki, albo kiedy...

- Nie przyglądam jej się - przerwała z niesmakiem brunetka. - To znajda, mówiłam już panu.

- Rozumiem. Proszę ją zabrać do domu, przygotować kartonowe pudełko z czystą gazetą w środku. Po porodzie trzeba zniszczyć pudełko i dać jej nowe...

- Nie życzę sobie żadnych kociąt.
- Wie pani, teraz to już trochę za późno.
- Nie będę zajmować się jakąś przybłądą.

Do Jona dopiero teraz dotarło, że kobieta ani razu nie dotknęła kota. Przyniosła go w pudle, i to Jon go stamtąd wyjął. Przez cały czas starannie omijała zwierzę wzrokiem.

- Ale przecież pani mąż...
- Nie cierpię kotów. Niech pan ją komuś odda.

Uśmiechnął się nieco krzywo.

- Nie wyobraża pani sobie, jak mało jest chętnych do wzięcia ciężarnej kotki.

- Nic mnie to nie obchodzi. To pan jest od zajmowania się zwierzętami. - Obróciła się na pięcie i wyszła z gabinetu.

Jon czekał cierpliwie, przekonany, że kobieta za chwilę ochłonie, zreflektuje się nieco i wróci. Kiedy nic podobnego nie nastąpiło, ostrożnie wziął białą-rudą kotkę na ręce i wyszedł do poczekalni.

- Czy coś się stało, panie -doktorze? - spytała Connie, jego asystentka. - Pani Pullman prawie wybiegła z lecznicy. Cud, że sobie nóg nie połamała na tych swoich szpilach...

- Miała drobne załamanie nerwowe - mruknął i podał asystentce kota. - Proszę znaleźć tej małej spokojne i ciepłe miejsce, jak najdalej od klatek z psami. I skontaktować się z panem Pullmanem, muszę z nim porozmawiać.

Wrócił do gabinetu. Po chwili w drzwiach pojawiła się Connie z pięknym bukietem.

- Przywieziono kwiaty. Nie ma żadnej kartki, ale ta pani powiedziała, że pan będzie wiedział, o co chodzi. Co mam z nimi zrobić?

Roześmiał się.

- Wziąć je sobie do domu.

- Naprawdę mogę? - Rozpromieniła się. - Dzięki! Są super! Aha, dzwoniłam do Pullmanów, ale nikogo nie było w domu, więc zadzwoniłam do pracy, oni mają ten sklep z winami na rynku, wie pan, no i okazało się, że on wyjechał służbowo do Santa Rosa. Wróci dopiero pod koniec tygodnia.

- W takim razie, jeśli pani Pullman się nie opamięta, chyba będę musiał do niej pojechać i przekonać ją jakoś?

Connie westchnęła tak głęboko, że poruszyły się pierzaste liście paprotki, którymi Lora przyozdobiła bukiet. To musiała być ona, rozpoznawał jej styl. To jej palce dotykały tych kwiatów i liści...

- Niech pan spróbuje, panie doktorze. Ta mała lada moment zacznie się kocić.

Gdy został sam, spojrzął na zegarek. Piąta po południu. Nie miał więcej pacjentów tego dnia, mógł wracać do Victora, sęk w tym, że nie miał na to ochoty. Ona tam będzie. Nie, żeby nie chciał jej widzieć. Przeciwnie. Aż za bardzo chciał ją znowu zobaczyć.

Za dużo o niej myślał. Wszystko przez to, że próbując ochronić przed nią przyjaciela, usiłował przewidzieć jej posunięcia. Włożył buty do joggingu, pojechał na plażę i pobiegł wzdłuż linii przyboju aż do miejsca, gdzie wypływający z lasu strumień zagroził mu drogę. Wtedy zawrócił.

W oddali widział samotną sylwetkę; ktoś rzucał patyk psa. Poza tym, jak okiem sięgnąć, nie było żywej duszy. Nad głową kołowały stada mew. W Los Angeles podobna plaża tętniła życiem, tu było wietrznie, zimno, surowo i... pięknie.

Tak, powinien zadzwonić do Triny, niech przyjeżdża. Będą razem spacerować po plaży, wieczorem rozpalą ognisko... Przypomniała mu się uwaga Lory o wilgoci i zrujnowanej fryzurze. Trina zawsze miała idealnie wygładzone włosy, wyglądała jak z żurnala. Nie wątpił, że i tym razem znajdzie sposób na to, by wspaniale wyglądać. Zawiąże sobie jakąś chustkę na głowie i już.

Gdy wrócił na parking, obok jego porsche stała stara, rozklekotana półciężarówka, a przy niej ów człowiek, którego widział z oddali. Jon na moment stanął jak wryty na widok jego psa. Bitsy? Po chwili zreflektował się. Oczywiście to nie mógł być Bitsy, ale wyglądał tak samo, jak ukochany czarny terier Triny.

Wysoki i szczupły nieznajomy był mniej więcej w wieku Jona. Wyraźnie nie przywiązywał zbytnej wagi do swojego wyglądu. Miał przydługie ciemnoblonde włosy, krótką nieuczesaną płową brodę, a jego wytarte ubranie wyglądało jak zdjęte z kogoś potężniejszego. Pies za to lśnił czystością i był pięknie zadbane. Siedział teraz przed właścicielem, unosząc łapę i skomlał, jednak gdy mężczyzna próbował go dotknąć, kulił się i nie pozwalał dotknąć.

- Coś się stało? - spytał Jon, podchodząc do nich.

- Bill musiał zrobić sobie coś w łapę, ale nie pozwala jej obejrzeć - odparł nieznajomy cichym i łagodnym głosem.

- A może ja spróbuję? Jestem weterynarzem.

Tamten obrzucił go krótkim spojrzeniem i powiedział nieśmiało:

- Byłbym wdzięczny...

Jon zbliżył się do teriera powoli i przykląkł, jednocześnie przemawiając do psa uspokajającym tonem:

- Bill, staruszk, co się stało? Co z twoją łapą? Boli? Zaraz się temu przyjrzymy...

Lekko położył dłoń na głowie psa. Bill postawił uszy i spojrzął na Jona zbolełym wzrokiem. Jon pogłaskał go delikatnie, potem bardzo powolnym ruchem przeciągnął ręką od głowy przez cały grzbiet aż do ogona. Następnie przeciągnął ręką od głowy do zdrowej przedniej łapy. Ani na chwilę nie przestając mówić do psa, ostrożnie przesunął palcami w kierunku chorej łapy. Bill pozwolił ją sobie podnieść, ale ponieważ zapadał już zmierzch, niewiele dawało się dostrzec.

- Masz latarkę? - zwrócił się cicho Jon do stojącego za nim mężczyzny.

- Miałem, ale się potłukła.

Wolną ręką wyjął z kieszeni kluczyki od porsche i podał je nieznajomemu.

- Znajdziesz latarkę w bagażniku. I czarną torbę. Przynieś mi ją. Tylko idź bardzo powoli, bo inaczej on pobiegnie za tobą.

Kilka minut później właściciel psa oświetlił łapę teriera mocną latarką, a wtedy wszystko stało się jasne. W miękkiej poduszeczce tkwił okruch szkła, niewielki, lecz ostry. Jon usunął go delikatnie szczypcami i przemył ranę środkiem odkażającym. Bill z entuzjazmem przejechał mu jęzorem po twarzy.

- Lubi cię.

- Ja jego też, to wspaniały pies. Tak przy okazji, jestem Jon Woods, chwilowo zastępuję Victora Reeda w tutejszej lecznicy dla zwierząt.

- Nolan Wylie - przedstawił się cicho tamten ze wzro-

kiem wbitym w żwir. - Woods? Doktor Woods szczepił Billa na wściekliznę w zeszłym roku. Chyba niedawno zmarł.

- Tak. To był mój ojciec.

- Przykro mi - powiedział z powagą Nolan. - Ile ci jestem winien?

- Nic. Cieszę się, że mogłem pomóc.

Nowy znajomy zerknął na niego, po czym znów spojrzął gdzieś w bok, więc wyglądało to tak, jakby zwracał się do samochodu Jona.

- Mieszkam niedaleko stąd. Może jedźmy do mnie na piwo? Własnej roboty...

Jon pomyślał o powrocie do domu doktora. Lora niechybnie musiała krzątać się po kuchni, pichcąc coś smacznego...

- Bardzo chętnie.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Dwie godziny później Jon wrócił do domu Victora, płonąć z pragnieniem, by opowiedzieć Lorze o Nolanie i Billu. Miał potrzebę podzielenia się opowieścią o tym dziwnym człowieku, a wiedział, że Lora będzie nim zachwycona. Po prostu wiedział.

Nowy znajomy mieszkał w na poły zrujnowanym domu, który przebudowywał w oryginalny sposób na swoje potrzeby. Hodował niesamowite ilości roślin na zewnątrz i wewnątrz domu. Półki ugięły się pod ciężarem książek, a na ścianach wisały niezwykle piękne akwarele przedstawiające kwiaty namalowane przez Nolana. Sprzedawał je na niedzielnym targu, żeby zarobić na gwoździe, farby i jedzenie dla psa.

Chociaż furgonetka Lory stała na podjeździe, w domu nie było nikogo z wyjątkiem zwierząt, które opadły Jona ze wszystkich stron, wyraźnie ucieszone jego obecnością. W garażu brakowało samochodu Victora. Czyżby jego stan się pogorszył i Lora musiała zawieźć go do szpitala?

Jon, mocno zaniepokojony, cofnął się z garażu do kuchni i dopiero wtedy zauważył przyczepioną do drzwi lodówki kartkę.

„Mam dość siedzenia w domu. Lora proponuje, żebyśmy jechali do centrum handlowego. Nie czekaj na nas. Vic”.



Nic z tego nie rozumiał. Czemu ktoś, kto ledwo porusza się o kulach, miałby jechać do centrum handlowego? Co ta Lora wymyśliła? Nie wyglądała na osobę, która lubi chodzić na zakupy.

Czuł się trochę rozczarowany ich nieobecnością, co jeszcze bardziej zbiło go z tropu. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy, wybrał numer Triny i już chwilę później słyszał w słuchawce jej starannie modulowany głos..

Lora poznała Arthura Polańskiego we wtorek w pralni chemicznej. Stał za ladą - zażywny mężczyzna o nieco czerwonawej twarzy, koło osiemdziesiątki. Z rozmowy wynikało, że jest wdowcem i niedawno przeprowadził się do Fern Glen, by być bliżej syna i jego rodziny, bo czuł się bardzo samotny. Pomagał synowi w prowadzeniu pralni i jeszcze nikogo tu nie znał.

Mogę temu zaradzić, pomyślała, wyjmując wizytówkę.

- Proszę przyjść z tą kartką w piątek do naszej kwiatarni, otrzyma pan goździk za darmo. Mamy właśnie promocję. Proszę pytać o Elle. - Na wszelki wypadek zapisała mu imię swojej babci na odwrocie wizytówki.

Wpadła na ten pomysł poprzedniego wieczoru, gdy zabrała Victora do centrum handlowego. Popychała jego wózek inwalidzki koło cukierni, gdy spostrzegła starszego człowieka, który kupował sobie lody i potem siedział z nimi samotnie przy stoliku.

On jest sam, babcia jest sama, pomyślała Lora. Czy nie lepiej, by na przykład byli razem? W jej głowie natychmiast powstał znakomity plan wyswatania babci. Ponieważ akurat tego dnia odebrała świeżą partię wizytówek, miała ich przy

sobie sporą ilość. Zaczęła je rozdawać tym starszym panom, którzy wyglądali obiecująco i zapraszać do przyścia po darmowy kwiatek.

Zostawiwszy kolejną wizytówkę panu Polańskiemu, Lora wróciła z praniem do kwaciarni, gdzie ujrzała dobrze zbudowanego mężczyznę koło trzydziestki.

- Gdzie ty się podziewałaś tak długo? - Angela pospieszyła ku córce, odebrała jej pranie, po czym szybkimi ruchami poprawiła jej włosy i kołnierz płaszcza. - Lora, kochanie, to jest Michael Goodwin, który ma zakład fryzjerski naprzeciwko. Właśnie przyszedł po kwiaty dla ciotki.

Michael posłał Lorze wyjątkowo sympatyczny uśmiech. Miał urzekające orzechowe oczy i rude włosy, bardzo ładnie ostrzyżone. Gdyby nie to, że przypominał Calvina i to, że aktualnie trzymała się z dala od mężczyzn, chętnie poznałaby go bliżej. Teraz jednak chciała tylko jak najszybciej wywikłać się z niezręcznej sytuacji.

- Twoja mama dużo mi o Tobie mówiła - zagaił Michael uprzejmie.

- Tak? Nie wierz ani jednemu jej słowu. Była ostatnio bardzo chora, staramy się nie wypuszczać jej z domu...

Angela dała jej sójkę w bok.

- Nie żartuj sobie z pana, kochanie, tylko pomóż mu wybrać kwiaty dla jego mamy.

- Mówiłaś, że ciotki - przypomniała cierpko Lora. Jak mama mogła dalej bawić się w swatkę, skoro widziała, jak Jon ją pocałował w ogrodzie doktora Reeda?

- Tak naprawdę to dla narzeczonej. Najchętniej coś żółtego.

Lora rozpromieniła się w przeciwieństwie do jej mamy, która odwróciła się gwałtownie i wyszła na zaplecze.

- Czy twoja mama czymś się zdenerwowała? Tak szybko wyszła - zauważył cicho Michael.

- Musi wziąć lekarstwo - zełgała gładko Lora.

- Nie miałam o tym pojęcia! - jęknęła Angela, gdy Michael opuścił kwaciarnię z naręczem żółtych tulipanów, a Lora przyszła na zaplecze, by ułożyć bukiet zamówiony przez jednego z klientów na imieniny żony. - Nawet nie zająknął się na ten temat! Kochanie, wybaczysz mi to kiedyś?

- Ile razy mam ci powtarzać, że nie jestem zainteresowana...

- ...mężczyznami, bo są niesolidni i nieodpowiedzialni - dopowiedziała jej mama. - Ale Michael to dobra partia, ma własny zakład...

- I narzeczoną - ucięła Lora, wybierając okazałe anturium. Było jej wstyd, że irytuje się na mamę, ale naprawdę miała już serdecznie dosyć powtarzania w kółko tego samego. Równie dobrze mogłaby rzucić grochem o ścianę.

Oby Jon przyszedł jak najprędzej i wybawił ją z kłopotu! Zadzwoiła do niego ukradkiem, obiecał wpaść w porze lunchu.

Poprzedniego wieczoru nie wrócił po pracy do domu doktora, nawet nie zadzwonił, że nie będzie go na kolacji, więc Lora niepotrzebnie przyrządziła solę z orzechami dla trzech osób. Jon był u siebie w pokoju, gdy Lora i doktor Reed przyjechali z centrum handlowego, ale nie zszedł na dół, dopóki ona nie poszła do siebie. Słyszała, jak potem rozmawiał z przyjacielem, pomagając mu rozebrać się do snu. Czyżby Jon jej unikał? I dlaczego?

Angela poklepała ją po rękę, by dodać jej otuchy.

- Nic się nie martw, znajdziemy ci kogoś innego. Nie udało się z Michaelem, ale to nic. A ten Jon Woods też się nie nadaje. Jest za przystojny, takim nie można ufać. Podobno ma narzeczoną, jakąś gwiazdę filmową czy coś takiego. Wiem to od Victora. Twoja babcia od razu podejrzewała, że ten chłopak to playboy.

Ratunku!

W tym momencie jak na zawołanie w kwiaciarni zjawił się Jon. We włosach lśniły mu krople deszczu. Lora była tak zajęta układaniem bukietu, że nawet nie zauważyła, kiedy zaczęło padać.

Natychmiast wyobraziła go sobie pod prysznicem, strugi wody spływające po jego opalanej skórze, unosząc się w powietrzu parę... Oczywiście poprosiłyby, żeby umyła mu plecy, więc rozebrałyby się, weszła do niego pod prysznic, namydliła mu skórę...

- Nie musisz do niego iść - szepnęła jej mama. - Jak chcesz, to szybko się go pozbędę.

Lora gwałtownie wróciła do rzeczywistości, zszokowana swoimi fantazjami.

- Nie, nie... Nie wiem, skąd ci przyszło do głowy, że nie chcę go widzieć. Wiem o jego dziewczynie, nie przeszkadza mi to. My się tylko przyjaźnimy.

- To czemu cię wtedy pocałował?

- To trochę... skomplikowane.

Podeszła do Jona, niepewna, jak mu dać do zrozumienia, że sytuacja uległa zmianie. Przyszedł udawać zakochanego, by uspokoić jej mamę, a tymczasem Angela upewni się w swoich podejrzeniach co do niego. Playboy, który zdradza narzeczoną, podrywając jej córkę! Ani chybi rodzina zacznie

ze zdwojoną energią szukać dla niej kogoś odpowiedniejszego.

Nie mając o tym wszystkim pojęcia, Jon przyciągnął Lorę do siebie. Wciąż oszołomiona swoimi fantazjami na jego temat, miała ogromną ochotę ulec, ale w ostatniej chwili zdołała uniknąć pocałunku, odwracając twarz.

- Nie mam czasu na długie udawanie, zaraz wracam operować - szepnął jej do ucha.

Poczuła jego ciepły oddech na swoim policzku.

- Zmiana planów - odszepnęła. - Zdaniem mamy zdradzasz ze mną Trinę.

- Skąd o niej wie?

- Od doktora Reeda. Wyszedłeś na playboya.

- Do licha!

- Sam jesteś sobie winien. Nie trzeba było mnie wtedy całować przy wszystkich.

- Myślałem...

- ...że jak to zrobisz w obecności Victora, to udaremnisz mój plan wydania się za niego. Ale ja takiego planu nigdy nie miałam, on istnieje tylko w twojej głowie.

W odpowiedzi chwycił ją mocno za ramiona i zajrzał głęboko w oczy.

- Musimy porozmawiać - powiedział z powagą, przestając szeptać. - Dziś wieczorem, dobrze?

Ujęła ją brzmiąca w jego głosie szczerść.

- Dobrze.

Cofnął się, skinął głową pani Gifford, przyglądającej im się z zaplecza i wyszedł.

- Romantyczny to on nie jest - skwitowała z dezaprobatą Angela.

Lora miała na ten temat inne zdanie. Wciąż czuła na ramionach dotyk mocnych dłoni, słyszała w głowie poważny, naglący głos. Pamiętała też, jak smakują usta Jona. A wyobrażenia dopowiadała resztę...

- Już dawno przestało padać, może chodźmy na krótki spacer - zaproponował Jon, gdy po wczesnej kolacji usadowili doktora Reeda w jego ulubionym fotelu, a Lora troskliwie okryła go kocem. Mały kosmaty kundel imieniem Bow-Wow i jeden nowofunlandczyk ułożyły się na dywanie koło swojego pana, a drugi chwycił w zęby smycz i pobiegł do drzwi.

- Oho, Sunny usłyszała słowo „spacer”, weźcie ją ze sobą - poprosił Victor. - Zostawcie mi tylko pod ręką telefon komórkowy i pilota, bo zaraz będzie western, i bawcie się dobrze.

Przez jakiś czas szli chodnikiem wzdłuż drogi, ale ponieważ dom doktora znajdował się na peryferiach, chodnik wkrótce się skończył. Przez chwilę jeszcze prowadziła ich ścieżka, a potem skończyła się i ona. Przeszli przez niskie drewniane ogrodzenie i znaleźli się na czyjejs niezabudowanej działce. Jon spuścił Sunny ze smyczy, by mogła swobodnie pobiegać.

- Ktoś ma ładną posiadłość - zauważyła Lora, podziwiając opadającą łagodnie w dół łąkę, porośniętą miękką trawą. Niżej wił się strumień, nad którym rosły krzewy obsypane różowymi pączkami. W oddali było widać ocean.

- Ten ktoś to ja. - Jon przeszedł kilka kroków, podniósł z ziemi tabliczkę z napisem „Na sprzedaż” i wbił ją w ziemię. - Dzieciaki ciągle ją przewracają.

- Po co ci kawałek ziemi w Fern Glen, skoro mieszkasz w Beverly Hills?

Przysiadł na górnej poprzeczce ogrodzenia.

- Mój tata go kupił. Kiedy tu przyjechał i został partnerem Victora, po jakimś czasie nabył tę posiadłość z zamiarem wybudowania sobie domu obok przyjaciela. Jakoś ciągle nie mógł się za to zabrać, aż w końcu umarł i ja zostałem właścicielem.

Usiadła obok niego.

- Bardzo tu pięknie - westchnęła z zachwytem.

- No - mruknął Jon. - A do tego cicho i spokojnie. I żadnych ludzi.

- Mówisz tak, jakby to były wady.

Odwrócił się ku niej.

- Czy ty nigdy nie miałaś dość tej ciszy i spokoju?

- Nie rozumiem.

Objął gestem okolicę.

- Zobacz, niczego tu nie ma. Jedyne, co mogę teraz usłyszeć, to mój własny głos.

- I śpiew ptaków w zaroślach, i brzęczenie kilku owadów, i odległy szum oceanu, i to, jak Sunny chłępcze wodę ze strumienia...

- No właśnie. To nic.

- Nic? To ty masz jakieś dziwne pojęcie, co to jest „nic”.

Jon zajął jej w oczy.

- A nie miałybyś ochoty zgubić się w tłumie na ulicy, gdzie wszyscy wpadają na siebie, gdzie z każdego sklepu dobiega inna muzyka, kierowcy trąbią, ludzie krzyczą do telefonów komórkowych, żeby ich było słychać przez ten zgiełk? Ruch, szybkość, życie! Nie tęsknisz za tym?

- Absolutnie nie - zaprotestowała z żarem, przerażona na samą myśl o tym.

Zerwał się z miejsca i zaczął chodzić w tę i z powrotem.

- A ja tak!

Podniosła się również i otrzepała spodnie.

- No to masz szczęście, że mieszkasz na południu Kalifornii.

- A żebyś wiedziała - odparł dziwnym tonem, odwrócił się i zszedł nad strumień.

Czy to wspomnienie o ojcu tak go zasmuciło? A może jej małe miasteczko zaczęło działać mu na nerwy?

Podążyła za nim. Nad wodą rosły kępy jej ulubionych kwiatów.

- Co to jest? - spytał, gdy pochyliła się nad nimi z uśmiechem.

Zerwała jeden i podała mu.

- Dziki irys.

Przez długą chwilę obracał zieloną łodyżkę w palcach, wreszcie odezwał się:

- Wczoraj wieczorem zadzwoniłem do Triny.

- Ach, to dlatego cię nie było.

- Nie, zadzwoniłem do niej dopiero po tym, jak wróciłem do domu i odkryłem, że zabrałaś Victora na zakupy.

- Obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem. - Swoją drogą ciekawe, po co?

Diabeł w nią wstąpił. Mogłaby mu po prostu odpowiedzieć, że Victor chciał kupić nowy szlafrok, skoro miał w domu gości, ale nie zrobiła tego.

- Nie wiesz, po co? - spytała słodko. - Obwiozłam go po jubilerach, bo tam są obrączki i pierścionki zaręczynowe,



potem przystanąłam przed wystawą sklepu z sukniami ślubnymi, a gdyby jeszcze nie załapał, o co chodzi, to na rogu był taki sklep z damską bielizną, pełen różnych seksownych kompletów...

Jon upuścił kwiatek na ziemię.

- Jesteś nieznośna.
- Ja? To nie ja korzystam z każdej okazji, żeby robić ci uwagi.
- Nie robię ci żadnych uwag.
- Nie? Jesteś najbardziej irytującym człowiekiem, jakiego znam.
- I kto to mówi? Powinienem cię teraz...
- Co? Może pocałować?
- Tak.

Jednocześnie rzucili się sobie w ramiona i zaczęli całować się bez opamiętania. Może to pod nią kolana się ugięły, może Jon pociągnął ją na ziemię, a może jedno i drugie. Przez chwilę całowali się, klęcząc na miękkiej trawie, by nie wiedzieć kiedy przejść do pozycji leżącej. Krew pulsowała Lorze w uszach, w głowie jej się kręciło, czuła się tak, jakby coś w niej miało wybuchnąć. Dłoń Jona wślizgnęła się pod jej bluzeczkę, dotknęła nagiej skóry.

Potem znalazła się pod nim. Jego dłonie ujmowały jej twarz, jego ciemne oczy patrzyły na nią z taką czułością, jakiej u niego jeszcze nie widziała. Pochylił głowę i pocałował ją, tym razem już nie gwałtownie, lecz bardzo, bardzo romantycznie...

Miała wrażenie, że od tego pocałunku wszystko w niej topnieje. Jeszcze moment, a będzie zgubiona. I to na zawsze. Och, nie...

Ostatkiem sił odwróciła twarz na bok, a gdy Jon zaczął wtedy zmysłowo całować jej szyję, wyszeptwała tylko jedno słowo:

- Nie...

Spojrzał na nią pytająco.

- Jon, a Trina?

Przekręcił się na plecy.

Leżeli obok siebie, oboje oddychali szybko i nierówno, próbowali ochłonać. Wpatrując się w niebo, Lora w duchu pogratulowała sobie silnej woli i przyznała sobie medal za bohaterstwo, ponieważ nie było w okolicy nikogo innego, kto mógłby to zrobić. Tak, niewątpliwie przynosiła zaszczyt wszystkim kobietom. Zdobyć się na takie poświęcenie!

- Dzwoniłem do niej wczoraj, mówiłem ci...

Ledwo usłyszała jego głos, taki piękny, niski i zmysłowy, natychmiast pożałowała swojej decyzji. Nie chce medali, nie chce przynosić nikomu zaszczytu, chce Jona!

Nie, oczywiście, że nie chce.

- Ona nie przyjedzie tu do mnie.

Naraz wszystko stało się dla niej jasne. Trina odmówiła przyjazdu, Jon czuł się zraniony. Podświadomie próbował jakoś się pocieszyć. Albo zemścić się na Trinie. Albo jedno i drugie naraz.

- To niedobrze - powiedziała, usiadła i podciągnęła kolana pod brodę.

Usiadł obok niej, odgarnął jej włosy z karku i pocałował. Ogarnęła ją pokusa, by odchylić się do tyłu, oprzeć o Jona, zatonać w jego objęciach. Oparła się temu z największym trudem.

- Przestań. To nie jest w porządku.

Delikatnie pogładził ją po policzku.

- Czemu? Jej na mnie nie zależy. - Jego palce powędrowały niżej, przesunęły się po jej szyi, zaczęły bawić się kołnierzem bluzki. Lora umierała z pragnienia, by dłoń Jona nie zatrzymywała się. - Myślę, że nigdy jej nie zależało.

Uwodził ją, a jednocześnie mówił o innej! Gwałtownie odsunęła jego rękę.

- Ale ja źle się z tym czuję. Calvin wyjechał robić karierę w Chicago, a ja zostałam tutaj. Nie zamierzam przechodzić tego po raz drugi. Chwilowo jesteś zły na Trinę, potem ci przejdzie. Wrócisz do swojego normalnego życia, między wami wszystko ułoży się po dawnemu. A ja znowu zostanę.

Przyglądał jej się intensywnie. W jego oczach błysnęło zrozumienie.

- Nie chcesz wyjść za Victora - raczej stwierdził niż spytał.

- Nie.

- To w takim razie dlaczego...

- Ponieważ chciałam go poznać. Przyjaciółka opowiadała o nim wspaniałe rzeczy, pomyślałam, że byłby dobrym mężem dla mojej mamy. Potrzebowałam przekonać się, jakim naprawdę jest człowiekiem. Tata zostawił nas z dnia na dzień, chciałam, żeby to był ktoś zupełnie inny od niego... Nie umiem dogadać się z ojcem. Mniej więcej raz w miesiącu rozmawiamy przez telefon. Chyba jest szczęśliwy, powinnam się z tego cieszyć, ale jakoś mi trudno. Ostatnim razem wspomniał, że wyjeżdża spotkać się z pewną kobietą i że może coś z tego będzie. I że w związku z tym przez jakiś czas nie będzie się odzywał. Wściekłam się. Powiedział, że nic nie rozumiem. Ma rację, nie rozumiem.

- Tęsknisz za nim - powiedział cicho Jon.
- Nie.
- Tak ci się tylko wydaje. Ja za swoim też tęsknię.

Zapadło milczenie. Tak, Jon miał rację, przyznała w duchu po chwili zastanowienia. Brakowało jej ojca. Czemu je zostawił, czemu teraz zrywał z nią kontakt?

- Jon, posłuchaj. Poniosło nas na moment, i to wszystko. Jedyne, czego kiedykolwiek od ciebie chciałam, to udawanie romansu, żeby mama i babcia przestały mi sprowadzać jakichś kawalerów i dały mi spokój.

- Co ty tam właściwie robisz? - zainteresował się.

- To proste. Próbuję zapewnić przyszłość mojej rodzinie. Więcej nie mogę ci powiedzieć. Tak więc ja mam swoją pracę do wykonania, a ty masz Trinę.

Wstał, podał Lorze dłoń i pomógł jej się podnieść. Na ten widok Sunny, buszująca w zaroślach po przeciwnej stronie strumienia, wróciła do nich biegiem, otrząsnęła się z wody prosto na nich i próbowała wskakiwać im łapami na piersi.

- Nic nie może się równać z zapachem mokrego psa - skomentował Jon i oboje wybuchi śmiechem.

Zawrócili do domu. W duszy Lory kłębiły się najróżniejsze emocje. Odżyło w niej rozżalenie na tatę i na Calvina. Była zazdrosna o Trinę. Coś jej dotkliwie doskwierało, lecz nie umiała tego nazwać.

Już dochodzili do domu, gdy Jon chwycił ją za ramię i odwrócił ku sobie.

- A ten pocałunek? Czy gdybym kochał Trinę, mógłbym tak się z tobą całować?

- Nie wiem - odparła, nie przyznając się, że jej też było z tym dobrze. Aż za dobrze. Nie zamierzała skończyć jako

przelotna pociecha dla chwilowo samotnego mężczyzny z wielkiego miasta. - Moim zdaniem każde z nas znalazło się w jakimś punkcie zwrotnym. Ten pocałunek to był taki... produkt uboczny.

Nie wyglądał na przekonanego. Przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu, po czym powiedział:

- Zastanówmy się, co dalej. Proponuję udawać, że zerwałem z Triną i spotykam się z tobą. Dzięki temu pozbędziesz się kłopotu z mamą i babcią. Za miesiąc wyjadę i wszyscy o wszystkim zapomną.

Dla niej nie było to takie proste. Wiedziała, że ona nie zapomni.

- Lepiej zrobię, jak wyprowadzę się od doktora Reeda. Będę mieć bliżej do szklarni - przekonywała. - I... I pewnie moje rybki bardzo już za mną tęsknią.

- Rybki mają krótką pamięć. Trzy sekundy, o ile się nie mylę.

- To czemu tak żywo reagują, gdy rano zapalam im światło?

- Wycuczony odruch. Kojarzą, że światło oznacza jedzenie. Przez długą chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

- Zostań u Victora - poprosił cicho. - Jeśli moja obecność jest dla ciebie kłopotliwa, to ja się wyprowadzę.

- Kiedy on cię potrzebuje. Sam kiedyś podałeś powody. Mógłby czuć się skrępowany, gdybym próbowała przejąć twoje obowiązki.

- Ale ty też jesteś mu potrzebna. Wspaniale gotujesz, a twoja pogoda i radość życia podnoszą go na duchu. Jesteś dla niego najlepszym lekarstwem.

Nigdy nie powiedziano jej czegoś równie miłego.

- Poza tym chyba chciałaś trochę odpocząć od rodziny?
- ciągnął.

Westchnęła.

- Przekonałeś mnie. Musisz tylko znaleźć sposób, żeby z powrotem przekonać do siebie mamę i babcię. Nie wiem, jak to zrobisz, naprawdę nabrały co do ciebie poważnych podejrzeń.

Zerknął ponad jej głowę.

- O wilku mowa... Czy to nie samochód twojej mamy stoi przed domem?

Spojrzała w tamtym kierunku.

- Rzeczywiście.

W tym momencie uprzytomnili sobie, jak wyglądają - oboje mieli mokre plecy, rozgniecione płatki irysów przykleiły się do rękawów Jona, we włosach Lory tkwiło parę źdźbeł trawy... Gorączkowo próbowali doprowadzić się do porządku, pomagając sobie nawzajem.

Naraz przypomniało jej się, jak doktor Reed prosił ich przed wyjściem, by podali mu telefon. Czy zamierzał zadzwonić do jej mamy?

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Dobra, trzymaj mnie za rękę i spróbuj przy tym nie łąpać na mnie tak morderczo. I nie kłóć się ze mną choć przez parę minut - przykazał jej cicho, otwierając drzwi.

- Co chcesz zrobić? - szepnęła.

- Coś wymyślę.

- A nie lepiej...

- Znowu zaczniesz?

Sunny, która niecierpliwiła się coraz bardziej, że państwo marudzą w drzwiach i nie wchodzi, skoczyła między nich, naciskiem potężnego ciała gwałtownie otwierając drzwi na oścież. Za nimi musiał już czekać Hobo, ponieważ wypadł na zewnątrz jak błyskawica. Oba psy zakodowały się, przewracając Lore i Jona, po czym w podskokach pobiegły w głąb domu, skąd zaraz dobiegło szczekanie i tubalny głos Victora:

- Siad! Spokój! Sunny, nie...

Suka musiała otrząsnąć się w pokoju, bo dało się słyszeć cichy damski pisk, a potem gorące przeprosiny gospodarza.

- Nic ci nie jest? - zatroszczył się Jon, podnosząc Lore z podłogi.

- Nie. Chodźmy ratować mamę i doktora. - Utykając, pobiegła do gabinetu.

Wyglądało na to, że Sunny zdażyła już być wszędzie. Na dywanie widniały ślady ubłoconych łap, po ekranie te-

lewizora ściekały krople wody, gazety były rozrzucone, doniczka z kwiatem - na szczęście sztucznym - przewrócona. Angela bezskutecznie wycierała chusteczką brązowe smugi na jasnożółtej spódnicy. Koty wskoczyły na fotel, gdzie siedziała Ella, szukając u niej schronienia. Victor zdołał chwycić smycz Sunny. Bow-Wow ujadął zaciekle, a Hobo wydawał z siebie regularne basowe szczeknięcia.

Jon wyprowadził psy na podwórko.

- Przepraszam, to moja wina, powinnam była jej pilnować. - Lora poprawiła koc doktora.

Ojcowskim gestem poklepał ją po ręku.

- Nie rób sobie wyrzutów, moja droga. Sunny jest żywiołowa i nieposłuszna. Angelo, pozwolisz, że zapłacę za pralnię, prawda? Elloise, ty chyba nie ucierpiałaś za bardzo?

Babcia siedziała spokojnie w fotelu, z uśmiechem głaszcząc Frosty'ego.

- Ty tu masz regularne zoo, Vic - skwitowała pogodnie.

Jon wrócił i od razu spostrzegł, że Lora, która podchodzi do przewróconego kwiatka, wciąż kuleje i krzywi się niezmiernie. Szybko postawił doniczkę z powrotem na miejscu i mocno ujął Lorę pod rękę, by ją podprowadzić do krzesła. Gdy usiadła, ukląkł przed nią.

- Pokaż nogę. - Sięgnął po jej stopę, ostrożnie zdjął but, a potem skarpetkę.

Ujrzał śliczną drobną stopkę i... 1 paznokcie pomalowane na jaskrawozielony kolor! Zaskoczony, podniósł wzrok na Lorę, a ona mrugnęła wesoło, choć za moment znów skrzywiła się z bólu.

Delikatnie zaczął ruszać jej stopą w prawo i lewo, a potem zataczać nią koła.



- Nie jestem jednym z twoich kotków - zauważyła.  
- Ale anatomia jest anatomią. Złamana kość rozpoznam i u człowieka. Masz skręconą kostkę. Przyniosę lodu i zrobię ci okład.

- Na pewno nic jej nie jest? - spytała z troską Angela, podchodząc do nich.

Jon wstał.

- Na pewno. Proszę się nie martwić.  
- To świetnie, bo ona jest dzisiaj umówiona. Wyobraź sobie, kochanie, że Michael ma młodszego brata. Ma nieduży sklep z obuwiami. Nie zamierza wyjeżdżać z Fern Glen. Wpadnie po ciebie dziś o ósmej.

W oczach Lory pojawiła się rozpacz. Jon pospieszył jej z pomocą.

- Źle mnie pani zrozumiała. Skręcona kostka to nie jest coś bardzo poważnego, ale Lora z całą pewnością nie da rady nigdzie dzisiaj wyjść.

- W takim razie mogą z Ronaldem pooglądać razem telewizję.

- Powinna odpocząć - naciskał Jon.

Angela nie dawała za wygraną.

- No to będzie odpoczywać, siedząc wygodnie na kanapie z miłym młodym mężczyzną u boku. Czy może być coś lepszego?

Jon zaczynał rozumieć desperację Lory.

- Owszem. Wziąć proszek przeciwbólowy i iść spać.

- Ona sama zdecyduje, na co ma ochotę. Prawda, kochanie?

- Tak, mamo. Jon ma rację. Im szybciej się położę, tym lepiej.

- W takim razie zadzwonię do RONALDA i powiem, żeby przyszedł jutro.

Dobiegło ich charakterystyczne cmoknięcie.

- Angelo, dajże spokój! - ofuknęła swoją córkę Ella.  
- Nie widzisz, że ci dwoje mają się ku sobie? Dobrze mówię, dzieciaki?

Lora zagryzła dolną wargę i po chwili wahania skinęła głową.

- Tak - przyznał Jon i by nikt nie miał wątpliwości, pochylił się i leciutko przesunął ustami po wargach Lory, które kojarzyły mu się z płatkami kwiatów i urokiem letniego dnia.

Nie miał pojęcia, jak to się stało, ale za moment pocałował ją po raz drugi. Jego ręka sama wsunęła się w jej włosy. Co on wyprawiał?

Jak to, co? Zgodnie z umową udawał zakochanego. To nie miało nic wspólnego z tamtym momentem na łące, gdy powodowani jednoczesnym impulsem rzucili się sobie w ramiona. Teraz jedynie odgrywali swoje role, póki był sceną, pozostałe osoby widzami. Może po powrocie do domu powinien jednak zastanowić się nad karierą filmową?

Nonsens! Powinien jak najszybciej wrócić do własnego życia, do miasta i Triny. Podjął decyzję. W następny weekend poleci do domu.

Odsunął się od Lory. Oczywiście wszyscy im się przyglądali. Angela westchnęła z rozmarzeniem.

- Pójdę po lód - mruknął pod nosem, czując się nagle jak idiota.

- Przynies i dla mnie, chłopcze - zakomenderowała El-

la. - Tylko nie zapomnij wrzucić go do szklaneczki i polać ginem.

Doktor Reed wybuchnął tubalnym śmiechem.

Lora długo nie mogła zasnąć, nie tylko dlatego, że dokuczająca jej skręcona kostka. Coraz bardziej zależało jej na Jonie i to było w najwyższym stopniu niepokojące. On nie długo wyjedzie stąd na zawsze, a sądząc po uwagach, jakie robił na temat życia w małym miasteczku, nie będzie do Fern Glen wracał nawet wspomnieniami. Wyjedzie i z ulgą zapomni.

W dodatku sprawy między mamą a doktorem nie posuwały się do przodu. Podobno przyjechała, by pożyczyć mu książkę o uprawie warzyw, ale czemu w takim razie ciągnęła za sobą babcię? A może to babcia koniecznie chciała przyjechać, by nie siedzieć samotnie w domu? Na szczęście w najbliższy piątek w kwaciarni powinien pojawić się z tuzin panów z wizytówką, na której Lora wypisała imię „Ella”...

Wróciła myślami do Jona. Czuł się zawiedziony postępowaniem Triny, jej odmową przyjazdu, więc zwrócił się ku Lorze. Miało to co prawda ten pozytywny skutek, że rodzina wyglądała na zadowoloną, a mama zadzwoniła do RONALDA i odwołała spotkanie. Z pewnością przestaną ją swatać, ale przyjdzie jej za to słono zapłacić złamanym sercem. Tylko nie to.

Koniecznie musi coś zrobić.

Po pierwsze, skontaktować się z prawnikiem i dowiedzieć, jak rozwija się sytuacja..

Po drugie, na piątek rano zamówić świeżą dostawę goździków.

Po trzecie, trzymać się z dala od Jona.

Po czwarte... koniecznie zadzwonić do Triny!

Jon pchnął szklane drzwi i znalazł się wśród półek z setkami butelek wina. Zza lady wyszła atrakcyjna brunetka w dopasowanych czerwonych spodniach i białej bluzce.

- Słucham pana?

- Pani Pullman, przyszedłem w sprawie pani kotki...

Teraz go rozpoznała. Jej oczy zwięziły się.

- Ach, pan jest tym weterynarzem! Już mówiłam, że nie chcę tej przybłądy.

- Owszem, pamiętam. Nie może jednak pani tak po prostu zostawić komuś zwierzęcia w gabinecie i wyjść.

- A mnie to można podrzucać zwierzaki do ogrodu? - zaatakowała. - To pan jest wielbicielem zwierząt. Niech ją pan sobie weźmie.

- Nie mogę brać cudzego kota. Ona należy do pani. Aha, powinna pani uiścić rachunek za wizytę i za przechowywanie...

- Zapłacę - ucięła. - Chwileczkę. Kot należy do mnie. Tak pan powiedział, prawda?

- Tak.

- W takim razie proszę go uśpić i po kłopotcie. Płacę z góry. A teraz chciałabym panu polecić znakomite białe wino...

- Uśpić! - wykrzyknął z oburzeniem Jon, zaciskając dłoń. - Jak można uśpić kotną kocicę?!

- Niech pan nic podnosi głosu - syknęła. - Straszy mi pan klientów.

- Niech pani ureguluje rachunek, zapomni o kocie i wraca do robienia pieniędzy - warknął i wyszedł.

Chciał trzasnąć drzwiami, ale miały pneumatyczny ogra-

nicznik, który zamykał je powoli, więc mu się nie udało. Zamiast tego kopnął je z furją i szybko ruszył przed siebie chodnikiem, nie widząc nikogo i niczego, gotując się z wściekłości.

Ludzie są okropni!

Minął swój samochód, poszedł dalej, szarpnięciem otworzył drzwi kwaciarni. Za ladą nie było nikogo, za to na zapleczu dostrzegł Lorę. Uśmiechnęła się na jego widok, i to mu odrobinę pomogło.

- Czy możesz tu do mnie przyjść? - zawołała.

Wszedł do niewielkiego pomieszczenia pełnego kwiatów we wszystkich możliwych kolorach. Panował tu miły chłód, powietrze było przesycone słodką wonią.

- Waśnie niedawno miałyśmy dostawę, przygotowuję kwiaty do wstawienia do naszej chłodni - wyjaśniła, przyglądając mu się bacznie.

Jon próbował ukryć targające nim uczucia.

- Tam masz taboret, siadaj i pomóż mi. Weź ze stołu sekator i przycinaj łodygi. Trzeba je skrócić o dwa, trzy centymetry. - Podsunęła mu duży plastikowy pojemnik z gerberami i pokazała, jak należy to robić.

Potem już nic nie mówiła, za co był wdzięczny, ponieważ chwilowo nie miał ochoty rozmawiać. Wciąż nie mógł dojść do siebie. Pracowali tak w milczeniu przez jakiś kwadrans, a Jon odkrył, że to zajęcie wywiera na niego kojący wpływ. W końcu odchrząknął i podjął próbę nawiązania normalnej rozmowy:

- Jak twoja kostka?

- - Lepiej. Trochę jeszcze kuśtykam, ale to nic.

- A gdzie twoje swatki?

- Pojechały dostarczyć kilka bukietów.

Przyglądał się, jak Lora szybko i sprawnie obiera różę z kolców i niepotrzebnych liści. Musiała robić to niezliczoną ilość razy.

- Jon, co się stało?

- Nic.

- Nie udawaj. Wpadłeś tu z taką miną, jakbyś miał ochotę zdrowo komuś przyłożyć. Jeszcze nigdy nie widziałam cię w takim stanie.

- Po prostu nienawidzę pozbawionych serca egoistów, to wszystko - powiedział z trudem.

Podsunała mu kolejny duży pojemnik, tym razem pełen goździków.

- Trzeba je przyciąć tak samo. Nie rozmawiajmy o egoistach, nie warto. Opowiedz mi o swojej pracy w Beverly Hills.

Sięgnął po słodko pachnący czerwony goździk.

- Bardzo dobra lecznica, najnowocześniejszy sprzęt, a przede wszystkim wspaniali ludzie. Ellen i Bob są małżeństwem, pracuję u nich od kilku lat. Ostatnio zaproponowali, że przyjmą mnie na partnera, więc po powrocie wykupię od nich udział i będziemy prowadzić lecznicę wspólnie.

- Cieszysz się?

- Tak. - Im dłużej opowiadał o tym, co lubił, tym spokojniej i lepiej się czuł. - Pewnie nie mogą się doczekać, kiedy wrócę.

- Ty też.

Zerknął na nią.

- Aż tak to po mnie widać?

Wzruszyła ramionami.

- Każdy by tęsknił za domem. Gdybym stąd wyjechała,

brakowałyby mi Fern Glen, zwłaszcza ludzi. Mama i babcia są chwilowo nieznośne, ale w ogóle są kochane. Aha, mama zamartwia się, że złamiesz mi serce. Muszę cię rzucić, zanim wyjedziesz.

- Nie ma sprawy. Zaaranżujemy kłótnię przy świadkach. Wygarniesz mi, że nie jestem dla ciebie dość dobry i każesz mi spadać.

- Znakomicie! To powinno pomóc.

W tym momencie do kwaciarni weszła żwawo babcia, jak zwykle z rozwianymi włosami i nieco zaróżowionymi policzkami. Uśmiechnęła się do nich promiennie.

- Kwiaty dostarczone - oznajmiła. - Działo się może coś ciekawego?

- Kompletnie nic. Gdzie mama?

- Gdzieś pobiegła.

- Może umówiła się z doktorem Reedem? - spytała z nadzieją Lora.

- A skąd mam wiedzieć? Dobrze, pójdę posprzątać przy wejściu.

Jon podniósł się.

- Muszę już wracać do pracy.

Lora dyskretnie dała mu znak oczami, przypominając, że przecież są zakochani. Pochylił się i pocałował ją we włosy, gdyż to było bez porównania bezpieczniejsze niż całowanie jej w usta.

- Do zobaczenia wieczorem.

Nie wrócił na kolację, lecz tym razem uprzedził Lorę, by nie gotowała na trzy osoby. Pojechał na plażę, by pobiegać, a potem poszedł do Nolana.

Ostatniej nocy długo nie mógł zasnąć. Zaczynał przechodzić jakiś kryzys, czuł to wyraźnie. Odgadywał, że ma to jakiś związek z Lorą. Oczywiście nie winił jej, ale też nie zamierzał biernie obserwować rozwoju wydarzeń. Musiał podjąć pewne kroki...

- O, chyba ci przeszkodziłem - powiedziała, ujrzawszy kolorowe od farb dłonie Nolana.

Malarz swoim zwyczajem wbił wzrok w ziemię.

- Właśnie skończyłem obraz. Pierwszy raz malowałem morze. Jedna pani zamówiła, to namalowałem. Chodź, powiedz, czy dobrze.

Jon roześmiał się.

- Jeśli zależy ci na opinii weterynarza...

Weszli do środka Nolan wyjął piwo z lodówki i podał Jonowi, który przyglądał się dużej akwareli schnącej na stole.

- Świetne - oznajmił z całym przekonaniem, patrząc na pięknie namalowane wydmy i ocean. - Słuchaj, namaluj i dla mnie tutejszą plażę, chętnie kupię od ciebie taki obraz.

Pomyślał, że oprawi go i powiesi sobie w domu, by przypominał mu pobyt w Fern Glen.

- Załatwione.

Jon obejrzał jeszcze uważnie łapę Billa, by upewnić się, czy wszystko w porządku, a potem usiedli obaj z Nolanem na starej kanapie. Bill wskoczył pomiędzy nich. Jon, starając się nieco rozkręcić znajomego, sprowokował rozmowę na temat sztuki. Nolan ożywił się i zaczął opowiadać o swoich ulubionych artystach. Potem Jon przystąpił do załatwiania sprawy, z którą tu przyjechał.

- Przepraszam cię z góry za to pytanie, ale... Masz dziewczynę?



Malarz zaczerwienił się.

- Z kobietami trudno się gada - wymruczał pod nosem.
- Oj, żebyś wiedział!

Zgodnie pokiwali głowami i przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Widzisz, jest taka sprawa - zaczął Jon. - Znam tu jedną dziewczynę. Bystra, śliczna, bardzo miła. Nie chciałbyś jej poznać?

Nolan zerknął na niego podejrzliwie.

- Skoro jest taka świetna, to czemu sam się z nią nie umówisz?

- Bo ja już mam dziewczynę. No więc pomyślałem sobie, że taki fajny gość jak ty pasowałby do Lory. Oboje *kochacie kwiaty, oboje chcecie zostać w Fern Glen...*

Nolan wbił wzrok w swoje znoszone buty.

- Kobiety wolą takich jak ty. Eleganckich i wygadanych.  
- Żaden problem. Jesteśmy tej samej postury, pożyczę ci jakieś ubranie. I nauczę cię kilku zgrabnych zwrotów. To nic trudnego. Zresztą Lora jest bardzo życzliwa i sympatyczna, będziesz się przy niej dobrze czuł, zobaczysz.

Malarz spojrzał Jonowi prosto w oczy.

- Czemu tak ci na tym zależy?

Teraz to Jon był zakłopotany. Prawda była zbyt osobista i zbyt skomplikowana, by ją wyjawić.

- Bo ją lubię i chciałbym, żeby trafiła na kogoś wartościowego. No i tak mi przyszło do głowy... - Speszył się jeszcze bardziej. - Może faktycznie bez sensu. Wiesz co? Zapomnij o całej sprawie.

- Czekaj, niech pomyślę.

Zapadło milczenie. Jon powtarzał sobie, że dobrze robi.

Zadzwoni do Triny, poinformuje ją o swoim przyjeździe w weekend, a tutaj niech się dzieje, co chce.

Wyobraził sobie, jak Nolan przywozi Lorę do siebie, jak ona siedzi z nim na tej samej kanapie, w tej swojej ślicznej zielonkawej sukience, z pomalowanymi na zielono paznokciami u stóp, z kruczoczarnymi włosami opadającymi jej na ramiona, z ponętными ustami...

Hm. Niespecjalnie mu się to podobało.

Bill pewnie wskoczy między nich. Tak, to już lepiej. Przyjaźnie poklepał teriera po grzbiecie. Cała nadzieja w Billu.

- Namysliłem się - odezwał się Nolan. - Chcę się z nią zobaczyć. Nie musisz pożyczać mi ubrań. Dziesięć lat temu mój ojciec ożenił się po raz drugi i dał mi potem swój ślubny smoking. Niebieski. Jest super. Ale do tej pory nie miałem okazji...

- To chyba trochę za eleganckie jak na Fern Glen. Macie tu jakiś lokal, do którego można iść w smokingu?

Malarz westchnął z żalem.

- No nie...

- Dobra. Umówię was na sobotę wieczór - zdecydował Jon.

Przed sobotą musiał jeszcze podrzucić Nolanowi jakieś sensowne ubranie, by malarz nie zniechęcił Lory swoim wyglądem.

A przede wszystkim musiał jakoś uzyskać zgodę drugiej strony na tę randkę.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Serce biło jej jak szalone, lecz nie uległa pokusie odłożenia słuchawki. Musiała to zrobić.

- Tu Trina Odell, słucham - usłyszała starannie modulowany głos.

Lora wcisnęła się głębiej w kąt między lodówką a ścianą. *Oby tylko Jon nie wrócił za wcześnie do domu doktora* i nie zastał jej spiskującej za jego plecami.

- Halo? Jest tam kto?

- Tak, jestem, przepraszam.

- Pani dzwoni z filmu?

- Słucham?

- No z jakiegoś poważnego studia filmowego?

- N-nie...

- Aha. - Głos w słuchawce nieco ochłódł. - Jeśli jest pani telemarketerką, to proszę natychmiast wykreślić mój numer telefonu z państwa listy i nigdy więcej...

- Jestem znajomą Jona.

- Nie ma go. Wyjechał.

- Wiem - odparła. - Wiem, bo jest tutaj. - Spróbowała zaśmiać się dwuznacznie, lecz była zbyt zdenerwowana i zabrzmiało to, jakby się zakrztusiła.

- Z kim ja właściwie mam... przyjemność?

- Już mówiłam. Z przyjaciółką Jona. Pani odmówiła przyjechania do niego, więc rozumiem, że między wami wszystko skończone?

- Co pani do tego?

- Chcę się upewnić, czy jest wolny. Nie mam zwyczaju odbijać partnera innej kobiecie.

Ton Triny stał się lodowaty.

- Chwileczkę. Ma pani ochotę na mojego faceta?

- Jest bardzo seksowny...

Powiedziała to specjalnie, ponieważ wiedziała, że każda kobieta poczuje się zaalarmowana takim wyznaniem. Zresztą, wcale nie zmyślała.

- Komu ty to mówisz? - warknęła Trina. - Ostrzegam cię, trzymaj się z dala od mojego faceta.

- Myślałam, że ci nie zależy...

- Źle myślałaś. Przyjeżdżam w ten weekend i zobaczysz, Jon przegoni cię na cztery wiatry.

- Tylko nie wspominaj mu, że dzwoniłam - zastrzegła się Lora.

- Po co miałabym to robić? Puknij się! - Z tymi słowami Trina się rozłączyła.

Lora z ulgą odłożyła słuchawkę, a potem pokiwała głową.

Taak... Niektórzy ludzie są bardzo przewidywalni.

Jon był na poły ucieszony, na poły zakłopotany, a przede wszystkim niezmiernie zaskoczony. Właśnie zakończył rozmowę z Triną. Zarezerwowała bilet na samolot i przyjeżdżała do Fern Glen na całe dziesięć dni. Niewiarygodne!

Victor szybko wracał do zdrowia, więc Jon mógł wrócić

do mieszkania odziedziczonego po tacie. Zdaży trochę posprzątać, zanim Trina przyleci.

Naraz uświadomił sobie, że w takim razie weekend spędzi tutaj, a nie w Beverly Hills. Czyli może przypilnować, by pierwsze spotkanie Lory i Nolana przebiegło jak najlepiej.

Znakomicie. Spędzą sobotni wieczór we czwórkę. Trzeba wymyślić, jak namówić Lorę na wspólny wypad. Trina bardzo chce ją poznać. A Nolan jest utalentowanym malarzem i wielbicielem kwiatów, wrażliwym i nieśmiałym, a przez to samotnym. Lora na pewno się zgodzi.

A Trina? Czy będzie zadowolona, że po tak długim rozstaniu pierwszy wieczór spędzają w towarzystwie obcych ludzi? Och, na pewno. Ona uwielbiała chodzić do lokali. Ten pierwszy wieczór nie stanowił więc problemu, gorzej będzie później. Przez dziesięć dni Trina będzie się tu potwornie nudzić.

Bez przesady. Trina i tak wstawała koło południa, bo prowadziła nocne życie. Nie przejmie się jego nieobecnością za dnia, byleby tylko nie zaniedbywał jej w nocy.

Uśmiechnął się. Nie ma sprawy.

Ktoś zapukał do drzwi. Gdy Lora otworzyła, do środka dziarskim krokiem weszła babcia, niosąc spore kartonowe pudło.

- Ja do Victora.

Lora zerknęła w stronę samochodu.

- A gdzie mama?

- Smaży befsztyki. Jej zdaniem Vic szybciej stanie na nogi, jeśli będzie jeść czerwone mięso.

- Ale przecież ja...

- Nie bierz tego do siebie. Obie z Angielą wiemy, że pod twoją opieką niczego mu nie brakuje. Twoja mama zawsze bierze się za gotowanie, gdy ma problemy sercowe. Jak zakochała się w swoim nauczycielu od matematyki, to w kółko piekła dla niego ciasteczka. Biedak przytył w ciągu semestru chyba z dziesięć kilo! - Mrugnęła wesoło do wnuczki, po czym ruchem głowy wskazała w głąb domu.

- On jak zwykle przed telewizorem? Zamierzam z tym skończyć. Mam tu karty, trochę gier, kilka zerwanych łańcuszków do naprawienia... Trzeba mu powynajdywać różne zajęcia.

Babcia poszła do gabinetu, a Lora zaczęła zastanawiać się nad jej słowami. Mama miała problemy sercowe? Czy to znaczyło, że...

Nie zdążyła nic więcej pomyśleć, ponieważ w tym momencie do domu wrócił Jon.

- Musimy porozmawiać - oznajmił bez zbędnych wstępów. - Chodźmy na zewnątrz.

- O, nie. Więcej nie dam się namówić na żadne figle-migle.

- Figle-migle?

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Żadnych pocałunków i tak dalej.

- Tak, wiem, o co ci chodzi. Żadnego leżenia na trawie, żadnego wsuwania rąk pod ubranie...

- Dokładnie - ucięła twardo. - Nic z tych rzeczy.

Uniósł dłonie w geście poddania.

- Obiecuję, że nic ci przy mnie nie grozi.

Poszli do altanki. Gdy Lora usiadła na chybotliwej ławce,

Jon zajął miejsce obok i dopiero po chwili pomyślał, że raczej powinien być usiąść naprzeciwko.

- Słuchaj, mam pewien problem - zagaił.

Oparła głowę o ażurową ścianę altanki i odwróciła twarz ku Jonowi. Był tak blisko. I miał takie ładne usta... Oczywiście nie zamierzała się zakochiwać, ale przecież mogła obiektywnie oceniać jego urodę, prawda?

- Poznałem tu na plaży pewnego człowieka. Nazywa się Nolan Wylie, jest malarzem, maluje głównie kwiaty, ma ich zresztą pełen dom. Byłem u niego parę razy, a w sobotę mieliśmy wyskoczyć gdzieś do miasta. No i wyobraź sobie, że przed godziną zadzwoniła do mnie Trina, bo jednak zmieniła zdanie i przyjedzie tu do mnie.

Lora wstrzymała oddech.

- Cieszysz się?

- Pewnie!

- To dobrze.

- Tylko widzisz, kłopot w tym, że ona przylatuje w sobotę, a ja wolałbym nie wystawiać Nolana do wiatru. On jest wrażliwy i nieśmiały, więc nie chcę mu tego robić. No i przyszło mi do głowy, że mogłabyś mnie poratować. Moglibyśmy wieczorem wyjść gdzieś razem we czwórkę, rozumiesz... - tłumaczył nieco bez ładu i składu.

- Ty też? - jęknęła z rozpaczą.

- Co ja też?

- Ty też zaczynasz mnie swatać?

- Nie wiem, o czym mówisz. Takie wyjście we czwórkę to świetne rozwiązanie, bo Nolan będzie miał z kim rozmawiać o kwiatach, a Trina chce cię poznać, to znaczy, jestem pewien, że pozna cię z przyjemnością i będzie jej miło...

Oj, kłamać to ty nie umiesz, pomyślała z nagłym rozbawieniem. Im więcej argumentów podajesz i im dłużej mówisz, tym mniej wiarygodnie to brzmi. Rozbawienie jednak szybko jej przeszło. Jon spiskował za jej plecami, specjalnie aranżując spotkanie z tym malarzem! Ale czy mogła mieć do niego pretensje? Sama zrobiła to samo, prowokując Trinę do przyjazdu, byli więc kwita.

Nie rozumiała tylko jednej rzeczy. Czemu nikt nie wierzył jej zapewnieniom, że naprawdę nie jest zainteresowana mężczyznami, woli być sama i mieć święty spokój? Czemu nawet Jon próbował ją swatać - on, który przecież wiedział najlepiej, bo sam pomagał jej wywieść w pole ukochaną, lecz całkowicie zbzikowaną na punkcie jej ożenku rodzinę?

Chwileczkę. Skoro Jon wiedział najlepiej, to czy mogła mu się teraz dziwić? A co robiła z nim na łące? Czy wyglądała na niezainteresowaną? Przeciwnie! Wyszło na to, że gotowa jest dosłownie rzucić się na każdego mężczyznę... To dlatego Jon próbował naraić jej tego malarza. Sama była sobie winna, skoro mówiła jedno, a robiła drugie i wysyłała do otoczenia sprzeczne sygnały. W rezultacie zamiast dwóch osób swatały ją już trzy.

I co teraz? Jeśli się zgodzi, potwierdzi podejrzenia Jona. Ale z drugiej strony chciała zobaczyć Jona razem z Triną. Za nic nie przepuściłaby takiej okazji! Może więc warto iść? Ten Nolan musi być naprawdę do rzeczy, skoro polubił go ktoś tak inteligentny jak Jon.

- Dobrze - powiedziała, wybawiając z kłopotu Jona, który już nie wiedział, jaki jeszcze argument mógłby podać, by ją przekonać do swojego pomysłu. - Ale postawmy spr-



wę jasno. Chętnie poznam Nolana, ale nic poza tym. To nie jest randka. Płacę sama za siebie i sama wracam do domu.

- Oczywiście. Wszystko, co zechcesz.

- No, to załatwione. Aha, czy Trina też zamieszka u doktora Reeda?

Jon spojrział na nią niemal z przerażeniem.

- Nie, skąd! Będziemy mieszkać u mnie. Wracam do siebie, Victor nie potrzebuje już mojej opieki.

Ogarnęła ją gwałtowna i silna emocja, której nie chciała nazwać.

- Rozumiem.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak będzie czuła się w domu doktora Reeda, gdy zabraknie Jona. Zawsze byli tu we trójkę... Najchętniej też by odeszła i zamknęła się znowu w swojej szklarni.

- No i nie zagraliśmy w rozbieranego pokera - odezwał się w końcu Jon.

Zdobyła się na uśmiech.

- Teraz już za późno, by zacząć się przed sobą rozbierać.

- Obawiam się, że tak.

- Panie doktorze, czy mogę pana prosić? - spytała asystentka, zaglądając do gabinetu.

- Później - rzucił Jon, który właśnie badał popielatego pudelka o sierści skręconej w drobne pierścionki. - Teraz jestem zajęty.

- Proszę. To bardzo pilne - nalegała Connie.

- Naprawdę nie może to chwilę zaczekać?

- Nie - oznajmiła zdecydowanie i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

- Jak kobieta używa takiego tonu, to lepiej posłuchać - doradził właściciel pudła, uderzająco podobny do swojego pupila, ponieważ miał takie same kręcone szpakowate włosy i żywe ciemne oczy. - Niech pan idzie, ja tu poczekam, nigdzie mi się nie spieszy.

Jon przeprosił klienta i podążył za Connie, która zaprowadziła go do zacisznej pakamery, gdzie w kartonowym pudle leżała porzucona przez panią Pullman biało-ruda kotka.

- Wciąż nie urodziła? - zdziwił się Jon. Gdy przyjechał rano do lecznicy, poród właśnie się zaczął. Kotkę zostawiono samą, by jej nie stresować. Do tej pory kocięta powinny już pojawić się na świecie. Niestety, wyglądało na to, że pierwsze z nich utknęło w kanale rodnym. - Rękawiczki, szybko! - zakomenderował.

Po kilku minutach wspólnych wysiłków człowieka i zwierzęcia na świat przyszedł mały kotek - mały tylko z nazwy, ponieważ okazał się wyjątkowo duży. Nic dziwnego, że jego mama miała takie kłopoty... Teraz lizała go starannie, a on wydał z siebie pierwsze miauknięcie, które brzmiało jak pisk myszy. Jon i Connie przyglądali się temu z zachwytem.

- Czy to nie cudowne? - Ze wzruszenia miała aż zmieniony głos.

- Owszem - przyznał Jon, którego również ścisnęło w gardle. - Za każdym razem mam wrażenie, że widzę to po raz pierwszy.

Ściągnął rękawiczki.

- A następne? - spytała asystentka.

- To mi wygląda na nietypowy miot. Jedno małe, za to duże - zażartował. - Na wszelki wypadek proszę mieć na nią oko, ale moim zdaniem już po wszystkim.

Wrócił do gabinetu, gdzie cierpliwie czekał na niego popielaty pudel i jego pan. Musiał teraz znaleźć nowy dom dla niechcianej kociej rodziny. Tylko gdzie?

Lora jak zwykle wymknęła się z domu doktora Reeda przed świtem i pojechała do szklarni. Panował tam chłód, ponieważ szklarnia była nieogrzewana. Na drewnianych ławach stały rzędy doniczek, z których wyrastały same liście. Jedynie środkowy rząd stanowił wyjątek. Ilekroć Lora tu wchodziła i spoglądała na wspaniałe lilie o olbrzymich kielichach w niezwykłym odcieniu głębokiego szkarłatu, z wrażenia na moment przestawała oddychać.

Nowa odmiana lilii. Hybryda wyhodowana po latach ciężkiej pracy, latach prób i błędów. Jej własne dzieło. Szansa nie tylko na uratowanie, ale i na rozwinięcie rodzinnego interesu. Szansa na lepszą przyszłość.

Podlała i nawiozła kwiaty, policzyła pąki, z uczuciem ucałowała jeden szkarłatny płatek, po czym zgasła światło i wyszła ze szklarni, starannie zamykając za sobą drzwi. Prawnik ostrzegał ją, że sprawę należy do końca utrzymywać w ścisłym sekrecie, nawet najbliższa rodzina nie może o niczym wiedzieć.

Następnie Lora pojechała do kwaciarni, przyjęła swojego dostawcę, odebrała kwiaty i zaczęła obmyślać szczegóły zaplanowanej na ten dzień promocji. Gdy mama i babcia przyjechały, miała już całą masę pomysłów.

- Mamo, nie zdejmuj płaszcza, skoczysz do cukierni „Słoneczko”, dobrze? Dzwoniłam do nich, zamówiłam cztery tuziny kruchych ciasteczek.

Angela była wstrząśnięta.

- Jak to?! Zamawiasz ciastka w cukierni? Czemu mi nie powiedziałaś, że ich potrzebujesz? Upiekłabym je wczoraj wieczorem!

Lora cmoknęła matkę w policzek.

- Przepraszam, przyszło mi to do głowy dopiero pół godziny temu. Babciu, ty pójdziesz do sklepu po papierowe serwetki, małe szklaneczki i trzy butelki najślabszego jabłecznika.

- A nie lepiej szampana? - podsunęła Ella.

- Nie mamy licencji - przypomniała jej wnuczka. - Jabłecznik przejdzie, ale szampan już nie. W dodatku nie możemy rozpijać klientów.

Angela przyglądała się córce pytającym wzrokiem.

- Nic nie rozumiem. Co ty znowu wymyśliłaś?

- Zaplanowałam małą promocję na dzisiejsze popołudnie. Musicie mi pomóc.

Angela załamała ręce.

- Kiedy ja dzisiaj jestem zajęta! Czemu nie uprzedziłaś mnie wcześniej?

- I tak byś do niego poleciała - mruknęła babcia.

Lora umierała z ciekawości. Czy mama wybierała się do doktora Reeda? Pewnie tak, bo do kogo innego? Przecież poprzedniego wieczoru smażyła dla niego befsztyki. Chciała ją o to spytać, ale jeden rzut oka na mamę wystarczył, by zrozumieć, że nie da się z niej nic wyciągnąć.

- Nie martw się, poradzimy sobie we dwie z babcią -

zapewniła. - Leć teraz po te ciastka, potem jesteś wolna. Babciu, co tak stoisz? Biegnij po jabłecznik. No, już was nie ma, kochane! - wygoniła je wesoło, a sama zaczęła się krzątać po kwiaciarni.

Ustawiła przy wejściu stół, nakryła go śnieżnobiałą serwetą i ozdobiła dekoracją z kwiatów. Przyłapała się na tym, że nuci pod nosem. Jak wszystko pójdzie po jej myśli, to babcia rozpocznie nowe życie!

Gdzie one wetknęły to małe stare radio?

RS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Ku satysfakcji Lory, inicjatywa urzędnika promocji spotkała się z ogromnym entuzjazmem babci. Mama uznała całą imprezę za niepotrzebną i zbyt drogą.

- Nie mamy tyle pieniędzy, żeby tak szaleć - oświadczyła karcącym tonem, stawiając na ladzie paczkę z ciastkami.

Córka przyjrzała jej się uważnie.

- Czy to przypadkiem nie jest nowy płaszcz, mamo?
- Ten stary łąch?
- Nigdy go nie widziałam.
- Coś ci się wydaje.

Tymczasem Lora dałaby głowę, że widoczna pod rozpiętym płaszczem błękitna sukienka też musiała zostać kupiona niedawno. W dodatku mama umalowała się, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, a jej oczy lśniły radością.

Nieoczekiwanie dla samej siebie poczuła smutek. Owszem, bardzo lubiła doktora Reeda i sama poznała go z mamą, ale nie zmieniało to faktu, że jej rodzicom się udało i nic już tego nie zmieni. To dla jej taty, który bawi teraz nie wiadomo gdzie z nową przyjaciółką, mama powinna tak promiennie wyglądać. Lora będzie miała wspańskiego ojczyma, ale... Ale to nie to samo, co ojciec.

- Na drugi raz się zastanów - dodała Angela, stojąc już z ręką na klawiszu. - To jest wyrzucanie pieniędzy w błoto. Ciastka, jabłecznik, kwiaty! Kto to widział rozdawać takie rzeczy za darmo?

- Może te jej lilie zaczęły przynosić dochody? - podsunęła babcia, wkładając czysty żółty fartuch.

- Nie, jeszcze nie - odparła Angela. .

Lora na moment oniemiała. Aż otworzyła usta ze zdumienia.

- To wy wiecie?!

Babcia cmoknęła.

- Chyba nie myślisz, że naprawdę podejrzewałyśmy cię o uprawę heroiny?

- Za kogo ty nas masz, kochanie? - spytała Angela. - Już w szkole średniej interesowałaś się liliami, chodziłaś do tego ogrodnika. Potem kupiłaś dom ze szklarnią, w której spędzasz każdy poranek i pół weekendu. Naprawdę nie trzeba być Einsteinem, żeby dodać dwa do dwóch.

- No i dzwonił ten twój prawnik, pan Pitt - dodała babcia.

Lora jęknęła.

- Jak to? Kiedy?

- Parę dni temu. Nie zastał cię, przecież mieszkasz teraz u Vica.

- I nic mi nie powiedziałaś?!

- Ja też o niczym nie wiem - obruszyła się Angela.

- Nie? Byłam pewna, że którejś z was mówiłam. No proszę, zaczynam mieć sklerozę - powiedziała pogodnie Ella.

Lora chwyciła się za głowę.

- A czy pamiętasz, co mówił?

- Oczywiście. Czekaj, jak to szło? Aha. Wszystko idzie dobrze, dokumenty prześlę w ciągu tygodnia, najdalej dwóch, Holendrom zależy, chcą być pierwsi. To brzmiało jak szpiegowski szyfr.

- To nie jest żaden szyfr!

- Ten pan Pitt też tak mnie zapewniał. Spytałam, czy masz do niego oddzwonić, ale nie chciał, prosił tylko o przekazanie wiadomości. Naprawdę zdawało mi się, że wszystko ci powtórzyłam. Przepraszam, jeśli to było coś pilnego i teraz będziesz mieć przeze mnie kłopoty.

Odetchnęła z ulgą. Od jakiegoś czasu prawnik nie odzywał się, zaczęła się niepokoić. Na szczęście wszystko się wyjaśniło.

- Nic się nie stało. Ale na drugi raz zapisz, jak ktoś będzie dzwonił, dobrze?

- Dobrze - obiecała babcia. - A o co chodzi z tym szyfrem? I po co ci prawnik do kwiatów?

- Chodzi o uzyskanie patentu - wyjaśniła spokojnie Angela. - Holandia jest największym producentem lili na świecie. Chcą kupić odmianę, którą wyhodowała Lora. Odmiana musi uzyskać patent, ale w naszym kraju musi go uzyskać hodowca, a nie nabywca. Holendrzy czekają, aż ona go dostanie, a wtedy od razu kupią od niej tę nową lilię.

Lora uśmiechnęła się z uznaniem.

- Nie ma sensu niczego przed tobą ukrywać, mamó. No, to teraz już wszystko wiecie. Niedługo otrzymam patent. Zatrudniłam prawnika, żeby to on siedział w papierkach, załatwiał sprawy w urzędach i rozmawiał z kontrahentami. Ja musiałam się skupić na moim właściwym zadaniu.



- Jesteś niesamowita - powiedziała z przekonaniem Angela.

Lora z wrażenia aż zamrugwała oczami.

- Dzięki, mamó - wymruczała w końcu.

- To teraz jeszcze tylko trzeba znaleźć ci męża.

- Mamó!!!

- No już dobrze, dobrze, tak mi tylko przyszło do głowy... - Otworzyła drzwi, po czym jeszcze się odwróciła.

- Aha, nic się nie martw, nikt się ode mnie nie dowie.

Gdy wyszła, Lora z niepokojem spojrzała na babcię.

- Właśnie. Pamiętaj, że to jest tajemnica.

Ella obrzuciła wnuczkę urażonym spojrzeniem.

- Umiem dotrzymywać sekretów.

- Tak, ale to naprawdę ważne...

Babcia wzięła się pod boki.

- Loro Rose Gifford, nie mów do mnie jak do dziecka!

- Przepraszam, babciu. - Starając się zmienić temat, spytała: - Z kim mama się umówiła?

- Chyba przed chwilą rozmawialiśmy o dotrzymywaniu sekretów - zauważyła niewinnym tonem Ella.

- Tak, ale...

- Uważasz, że jednych sekretów mam dochowywać, a innych nie? Chcesz, żebym była dwulicowa?

- Nie, skądże! — zaprotestowała gwałtownie Lora. - To nie byłaby żadna dwulicowość, skąd ci to przyszło do głowy? No, babciu, proszę, powiedz...

- Nie. Lepiej ty powiedz, co mamy jeszcze przygotować na tę promocję?

- Oj, babciu! Chociaż pół słoweczka...

Ella okazała się nieugięta, Lora postanowiła więc wie-

czorem pociągnąć za język doktora Reeda. Wygada się prędzej niż babcia, nie miała co do tego wątpliwości.

Dwie godziny później odezwał się dzwonek oznajmiający przybycie klienta. Lora wyjrzała z zaplecza, spodziewając się miłego starszego pana z jej wizytówką w dłoni, a tymczasem ujrzała Jona. Serce podskoczyło jej do gardła i tam zostało. Jon uprzejmie uklonił się Elli, podszedł do Lory i ku jej zdumieniu wręczył jej odtwarzacz CD.

- Spotkałem u Victora twoją mamę. Podobno potrzebujesz jakiegoś sprzętu grającego. Victor pożycza ci swój.

Pod wpływem jego rzeczowego tonu jej wzburzone emocje opadły nieco. Serce Lory wróciło na właściwe miejsce. Prawie.

Dzięki Jonowi uzyskała niezbitą pewność, że mama umawia się z doktorem Reedem. Wszystko szło więc znakomicie! Podziękowała Jonowi gorąco i podłączyła odtwarzacz.

- Co ty właściwie robiłeś u niego w domu w środka dnia? Nie pracujesz dzisiaj?

Wręczył jej kilka płyt.

- Pracuję, ale musiałem spakować swoje rzeczy, przecież się wyprowadzam.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Wspomnienie tych paru krótkich chwil, jakie spędziła w jego ramionach, wróciło do niej z całą siłą. Znów słyszała szmer strumyka, czuła zapach wilgotnej trawy, ciężar ciała Jona, dotyk jego gorących rąk i spragnionych warg...

Znienacka poczuła gwałtowną niechęć do owej nieznannej Triny, którą sama tu ściągnęła. Co za głupi pomysł!

Wzięła pierwszą z brzegu płytę i włożyła ją do odtwarza. Drżały jej ręce.

- Nolan bardzo się cieszy na spotkanie z tobą - rzucił Jon.

- Ja też się cieszę. - Nagle coś jej się skojarzyło. - Słuchaj, nie jest dobrze. Skoro mama jest u doktora, to pewnie dowie się od niego o przyjeździe Triny. Znowu wyjdiesz na playboya i znowu zaczniesz mnie zamęczać wynajdywaniem mi nowych kawalerów.

- Nie obawiaj się, przewidziałem to. Poprosiłem Victora o zachowanie dyskrecji.

Odetchnęła z ulgą.

- Wpadniemy po ciebie do Victora jutro o siódmej - dodał.

Pokręciła głową.

- Nie zmieścimy się we czwórkę w twoim samochodzie. Pojedźmy moim.

- Nie, nie trzeba, coś wymyślę - zapewnił pośpiesznie, widać przerażony pomysłem wożenia swojej ślicznej dziewczyny z wielkiego miasta dostawczą furgonetką.

Lora nie mogła mieć o to do niego pretensji.

- Dokąd pojedziemy?

- Macie tu taki pub na rynku...

Aż skóra na niej ścierpła. To był ulubiony lokal jej i Calvina. Nie zamierzała nigdy więcej przekraczać jego progu.

- Nie. Pojedziemy do „Karczmy”. To najlepsza restauracja w mieście. Zadzwoń do nich i zarezerwuję stolik - oznajmiła stanowczo i wcisnęła przycisk odtwarzania.

Wzdrygnęli się, gdy muzyka ryknęła na cały regulator i jednocześnie sięgnęli, by ją ściszyć. Ich palce zetknęły się. Każde gwałtownie cofnęło rękę. Znowu popatrzyli na siebie w milczeniu.

Na szczęście odezwał się melodyjny dzwonek i wejście klienta wybawiło Lorę z kłopotliwej sytuacji.

Artur Polański, wyglądający bardzo nobliwie w szarej tweedowej marynarce, wesoło pomachał jej ręką.

- Przyszedłem po mój kwiatek!

- Ech, to twoje upodobanie do starszych panów - mruknął Jon za jej plecami.

Odwróciła ku niemu głowę, spiorunowała go wzrokiem, a potem zaprowadziła pana Polańskiego do babci, by go jej przedstawić. Następnie wyjęła z wazonu goździk i owinęła jego łodyżkę bibułą, by nie kapała z niej woda. Tymczasem babcia nalewała klientowi jabłecznik, gawędząc z nim przyjaźnie. Niedługo później zjawili się dwaj następni panowie, których Lora pamiętała z centrum handlowego, potem zaczęli napływać kolejni. Robiło się gwarno, babcia kwitła, wyraźnie zadowolona z tak liczного towarzystwa, a Jon... A Jon, ku zaskoczeniu Lory, nie wychodził. Obsługiwał odtwarzacz, starając się dobrać jak najodpowiedniejszą muzykę, wreszcie zdecydował się na skoczne utwory jakiejś irlandzkiej kapeli folkowej. W kwaciarni robiło się coraz tłoczniej i weselej.

Lora gratulowała sobie pomysłu, ale tylko do momentu, gdy przed wejściem zatrzymał się minibus, z którego wysiadło sześciu staruszków. Czterech miało laski i chodziki, za to każdy trzymał w dłoni wizytówkę Lory. Z całą pewnością nigdy przedtem nie widziała żadnego z nich.

- Ale macie powodzenie! - skwitował z humorem Jon.

Zdenerwowana nieprzewidzianym rozwojem sytuacji, odwróciła się do niego gwałtownie.

- Co ty tu jeszcze robisz? - ofuknęła go z irytacją.

- Obserwuję twój sukces. - Pochylił się i szepnął jej do ucha: - Zagięłaś parol na każdego staruszka w okolicy? Nie jesteś zbyt zachłanna?

Czuła jego ciepły oddech na swojej skórze, i to jeszcze bardziej wytrąciło ją z równowagi.

- Spadaj!

- Nie mogę, przyszedłem po kwiaty. Potrzebny mi bukiet do postawienia na stole, coś okazałego i robiącego wrażenie, rozumiesz... Ale ty chyba jesteś chwilowo zajęta. Myślisz, że każdy z nich da radę biegać na randki z tobą? Nie za wiele od nich wymagasz?

- Cicho bądź! - syknęła. - I idź już wreszcie!

- A mój bukiet?

- Przywiozę ci później. Idź!

Jon roześmiał się, utorował sobie drogę przez tłum, po czym z galanterią otworzył drzwi kolejnej grupce staruszków. Lora zdętwiała. Kim byli ci wszyscy ludzie? Jon podchwycił jej przerażone spojrzenie, mrugnął łobuzersko i znikł.

- Potrzebujemy więcej goździków - zażądała Ella, dopadając wnuczki. Policzki jej pałały, włos miała rozwiany.

- Słuchaj, ja rozumiem ideę promocji, ale czemu przychodzą same stare dziadki? Skąd oni wszyscy się wzięli?

Właśnie, pomyślała w popłochu Lora. Skąd?

Jon po pracy zawiózł trochę ubrań Nolanowi, potem wrócił do mieszkania, które miał po ojcu, i rozpakował się. Starannie wywietrzył szafę w sypialni, bo pamiętał, że dla Triny to nie bez znaczenia, w jakich warunkach trzyma swoje markowe ubrania.

Hm, ciekawe, co Lora włoży na jutrzejsze spotkanie? Nigdy nie widział jej ubranej jakoś specjalnie, najczęściej chodziła w dzinsach i nieco przydużych swetrach, wyraźnie starych i znoszonych. Z innych rzeczy znał tylko tę jej zielonkawą sukienkę. To dlatego, że nigdy jej nigdzie nie zabrałeś, idioto, wytknął sobie w myślach. Mogłeś ją przecież zaprosić do kawiarni czy do kina.

Zaczął się zastanawiać, co by było, gdyby spotkali się w innych okolicznościach - gdyby on był wolny i gdyby to było nie na jej, a na jego terenie. Mogliby minąć się na zatłoczonym bulwarze w Los Angeles... Czy jej drobna figura i burza czarnych loków przyciągnęłaby wówczas jego uwagę? Czy Lora poświęciłaby mu drugie spojrzenie? I czy w takich okolicznościach zdołałby odkryć w niej te pokłady zalet, jakie w sobie nosiła?

Lora należała do Fern Glen, była równie tajemnicza, naturalna i piękna jak to samotne dzikie wybrzeże, o którym mało kto wiedział. Najprawdopodobniej w Beverly Hills przygasałaby, zniechęcona i zrażona wielkomięskim pośpiechem i zgiełkiem - podobnie jak Jon był znudzony senną atmosferą małego miasteczka.

W zamyśleniu podszedł do okna i naraz spostrzegł na parkingu pod blokiem niebieską furgonetkę. Skoczył do drzwi w tym samym momencie, gdy rozległ się gong.

Ujrzał przed sobą olbrzymi żółty bukiet, złożony z różnych kwiatów, części z nich nawet nie znał. Wyglądało to tak, jakby w powietrzu wisiała wielka słoneczna kula, promieniejąca blaskiem. Stał oniemiały, zachwycony, zaskoczony.

- Weź to ode mnie! - jęknął zza kuli zdyszany głos.

Jon chwycił ciężki pojemnik w momencie, gdy zaczął wyslizgiwać się Lorze z rąk i postawił go na środku okrągłego stołu w dużym pokoju. Zdumiewające, jak opuszczone i smutne mieszkanie od razu ożyło. Odwrócił się do Lory.

Opierała się o framugę, blada i krucha. Miała na sobie to samo ubranie, w którym widział ją koło południa - dżin-sy, prostą czarną bluzkę i tenisówki. W porównaniu z oszalałymi kwiatami, jakie przydźwigała na drugie piętro, wyglądała jak sierotka. Wyjątkowo urocza sierotka.

- Usiądź, przyniosę ci coś do picia. Co chcesz? Mam piwo, sok pomidorowy, wodę...

Wciąż jeszcze nie mogąc złapać tchu, skinęła głową, więc domyślił się, że pewnie to ostatnie. Pierwszy raz to on przynosił jej coś do picia, zawsze było na odwrót. Ta myśl jakoś go wzruszyła.

- Może chcesz coś zjeść? - zatroszczył się. - Trochę mam pusto w lodówce, ale znajdzie się puszka fasolki, jest też pizza w zamrażalniku...

- Nie, dzięki. Muszę wracać do doktora Reeda i ugotować mu obiad.

- Moim zdaniem nie musisz. Twoja mama przywiozła mu befsztyki i od razu je podgrzała. Jedli potem razem i rozmawiali o czymś z dużym zaangażowaniem. Twój plan chyba się powiódł.

Rozpromieniła się, dzięki czemu z uroczej sierotki w ułamku sekundy przedzierzgnęła się w atrakcyjną kobietę.

- Wiedziałam! - oznajmiła z satysfakcją. - Miłość to wspaniała rzecz.

Jon udał, że przetyka sobie uszy.

- Chyba coś źle usłyszałem. Ty miałabyś wygłosić pochwałę uczucia? Ty? Niemożliwe.

- Oj, tak mi się wyrwało. Po prostu cieszę się, że mama znów będzie szczęśliwa. Ona jest stworzona do miłości.

- A ty nie?

- A ja nie.

Jon przyglądał jej się przenikliwym wzrokiem.

- A twoja babcia? Coś mi mówi, że to ty jej zwałaś dziś na głowę dwa tuziny potencjalnych wielbicieli.

Czy zdawała sobie sprawę z tego, jak rozkosznie teraz wygląda? Nie usiadła na fotelu, tylko dosłownie padła na niego, przyjmując jak najwygodniejszą pozycję. Siedziała z naturalnym wdziękiem małego zwierzątka, bez przyjmowania póz, wciągania brzucha, wypinania biustu... Pamiętała, z jaką bezpretensjonalnością kłękała przed doktorem Reedem, by poprawić mu koc, lub przed którymś z jego psów, by otoczyć jego szyję ramionami. Wszystko to czyniła z ujmującą prostotą, której trudno było się oprzeć.

- Nie dwa, tylko trzy, a planowałam jeden! - jęknęła.

- Kiedy pojechałam z doktorem Reedem do centrum handlowego, odebrałam tam zamówione wizytówki, a to podsunęło mi pewien pomysł. Zaczęłam je rozdawać obiecującym starszym panom, zapraszając ich do kwaciarni w ramach promocji. Rozdałam ich kilkanaście. Zgubiłam przy tym jedno opakowanie wizytówek, co zauważyłam dopiero w domu. I tak się złożyło, że znalazł je jeden z tych panów. Chciał mi je oddać, ale nie mógł mnie znaleźć w tłumie, zabrał je więc do domu spokojnej starości, gdzie mieszka. No i tam zdecydowano, że skoro jestem taka miła, to trzeba mi pomóc w promocji... I rozesłano je do wszystkich po-



dobnych domów w całej okolicy! - Lora zawiesiła głos. -  
A wiesz, ile ich jest?

- Nie - odparł z szerokim uśmiechem.

- Sześć! Wycieczkę do kwaciarni zorganizowano w pięciu! Zabrakło nam jabłecznika i ciastek, goździków również, w końcu musiałam za darmo rozdawać róże! Jeszcze nie policzyłam, ile nas kosztowała cała ta impreza.

- Może to się jednak opłaci, jeśli twoja babcia...

- Nic z tego, babcia kręci nosem. Wszyscy są dla niej za starzy. Sama ma siedemdziesiąt jeden lat, a tak wybrzydza! Kto by pomyślał?

Jon przysiadł na poręczy kanapy.

- Nie rozumiem, czemu się na nią zżymasz. Ma prawo być wybredna.

- W tym wieku?

- Właśnie tym bardziej powinna się zastanowić, z kim chce spędzić resztę życia, żeby jej nie zmarnować.

Jęknęła ponownie.

- Ty jej nie broń! Sama twierdziła, że różnica wieku nie ma znaczenia i swatała mnie z nastolatkami. Skoro mnie różnica wieku miała nie przeszkadzać, to niech i jej nie przeszkadza!

Jon przezornie powstrzymał się od dalszych komentarzy. Lora i tak miała stresujący dzień, więc lepiej dać jej spokój. Niech ochłonie i zapomni o tym jak najprędzej. Nawet wiedział, w jaki sposób mógłby odwrócić jej uwagę od kosztownej promocji, która okazała się kompletnym fiaskiem. Wystarczyłoby zrobić parę kroków i... Nie. Nawet jeden pocałunek groził poważnymi komplikacjami.

- Jon, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, miałeś

okulary - odezwała się nagle Lora, która również przyglądała mu się z namysłem. - Nigdy potem cię w nich nie widziałem. Dlaczego?

- Bo noszę soczewki - wyjaśnił krótko. - Akurat tamtego dnia przypadkiem ich nie miałem.

Wstała i podeszła do niego. Teraz, gdy Jon siedział na poręczy, ich twarze znajdowały się na tym samym poziomie. Miał teraz tuż przed sobą jej oczy, zielone jak trawa, jak liście, jak wszystko, co wyrasta z ziemi i pnie się ku słońcu.

- Niech no ja się dokładnie przyjrzę... - Wzrok Lory błyskawicznie przeskakiwał z jednego oka Jona na drugie. - Faktycznie, widzę je.

Złapał ją za ramiona.

- Przestań, kręci mi się w głowie.

- Moim zdaniem bardzo ci do twarzy w okularach. Szkoda, że nie nosisz ich częściej.

- Trina woli, gdy chodzę w soczewkach.

- Ach, tak.

- Gdy nam zależy na drugiej osobie, staramy się robić to, co sprawia jej przyjemność - dodał, jakby usprawiedliwiając się.

Uśmiechnęła się i leciutko musnęła palcami policzek Jona.

- Jesteś bardzo wrażliwy na odczucia drugiej osoby.

Miał przed sobą nie tylko jej oczy, ale i usta.

- Ile ci jestem winien za kwiaty? - spytał. Miał wrażenie, jakby jego głos dobiegał z daleka i należał do kogoś innego.

- Nic. Przywiozłeś mi odtwarzacz i płyty, i nastawiłeś

muzykę, a ja byłam wobec ciebie nieuprzejma. Należy ci się ode mnie coś na przeprosiny.

- Nie byłaś nieuprzejma, tylko zbita z tropu sytuacją. Ja to naprawdę rozumiem.

Gdy w odpowiedzi uśmiechnęła się, rozchylając wargi i ukazując drobne białe zęby, przypomniały mu się ich namiętne pocałunki na łące. Poczuł, jak narasta w nim pożądanie. Wystarczyłoby przyciągnąć ją do siebie...

Nie, nie mógł tego zrobić. To byłoby nie w porządku. Oboje walczyli z niechcianym pragnieniem. Ona zraziła się do mężczyzn. On był związany z inną kobietą. Ona za nic nie wyjechałaby z Fern Glen. On za nic by tu nie został.

Zdecydowany, by nie ulec pokusie, spojrzął Lorze prosto w oczy. Pokręciła głową, lecz zaraz potem przysunęła się do niego. Dłonie Jona same powędrowały na jej talię. Zamknął oczy i czekał, wstrzymując oddech, nie wykonując najmniejszego ruchu. Nie chciał jej ośmielać. Nie chciał jej spłoszyć.

Poczuł na uchu ciepły oddech. Delikatne palce wsunęły się w jego włosy, drobne piersi przycisnęły do jego torsu, a szczupłe biodra do ud.

- Lora... - wyszeptał z trudem, jedną dłonią gładząc jej twarz, drugą lekko przesuwając po kształtnym pośladku.

- Óóó... - Położyła mu palec na ustach.

Było to wszystko bardzo miłe, ale chciałby więcej, dużo więcej, wszystko. Może ona potrafiła w pełni nacieszyć się tym momentem intymnej bliskości, poprzestać na tym i czuć satysfakcję, lecz dla niego niespełnienie oznaczało już tylko mękę. Ona musi to zrozumieć.

Łagodnie, lecz stanowczo odsunął ją od siebie i spojrzął

na nią z powagą. Zamknęła oczy tak samo jak on, gdy przed chwilą biernie poddawał się jej woli. Rób ze mną, co chcesz, przekazała mu w ten sposób bez słów.

Jej zgoda pokonała wszelkie jego opory. Porwał ją w objęcia i zaczął chciwie całować, jednocześnie przyciągając mocno do siebie jej biodra, by mogła poczuć jego podniecenie. Polem wsunął dłonie pod bluzkę Lory.

Gorączkowo wyciągnęła mu koszulę ze spodni, by móc dotykać jego nagiego torsu i pleców. Pragnienie znalezienia się bliżej, jeszcze bliżej opanowało ich bez reszty, wypierając wszelkie inne myśli. Zaczęli wzajemnie rozpinąć sobie guziki - dość niezgrabnie, gdyż ręce im się trzęsły, a mimo to szybko.

Koszula i bluzka pofrunęły na podłogę, a oni przyłgnęli do siebie chciwie.

Jak to możliwe, by pocałunek tak błyskawicznie doprowadził do tak... zaawansowanego etapu? Jonowi jeszcze nigdy nie zdarzyło się nic podobnego. Miał wrażenie, jakby szalał w nim pożar, od którego zajęła się również Lora. Pocałował ją mocniej, przygarnął chciwiej. Czy już ktoś przed nim cieszył się dotykiem tych delikatnych krągłości, czy ktoś już całował tę dziewczynę z podobnym żarem i spotkał się z równie chętną odpowiedzią?

Jej narzeczony? Czy ów Calvin dotykał jej w taki sposób? Jak w ogóle można porzucić taką kobietę?

Przecież sam zamierzasz to zrobić, odezwał się głos w jego głowie. Chcesz się z nią kochać, korzystasz z jej przyzwolenia, z jej chwili słabości, a potem i tak wyjedziesz stąd na zawsze.

Ta myśl podziałała na niego jak kubeł zimnej wody. Ona

w tej chwili nie rozumowała trzeźwo, lecz jak poczuje się później? Już raz musiała przejść przez coś podobnego. Czy Jonowi wolno narażać ją ponownie na taki stres?

Łagodnie odsunął ją od siebie. Podniosła na niego pół-przytomny wzrok. Była w tym momencie tak wzruszająco piękna - półnaga, z rozchylonymi ustami i potarganymi włosami - że ten obraz wrył się Jonowi w pamięć jak przedtem żaden inny. Zapamięta, go do końca życia, to pewne.

- Jon?

Milczał przez chwilę, walcząc sam ze sobą.

- Nie mogę - szepnął wreszcie.

Zamrugnęła, jakby oślepiąca zbyt mocnym światłem.

- Wybacz. Zapomniałem się. Nie powinienem był...

W jej oczach pojawiło się *zrozumienie*. *Gwałtownie* wciągnęła powietrze, pośpiesznie schyliła się po bluzkę, przytuliła ją do piersi i cofnęła się o parę kroków.

Poczuł się jak łajdak. Z jednej strony oboje byli dorośli, więc Lora mogła podejmować takie decyzje, jakie chciała, z drugiej jednak... Z drugiej strony w żaden sposób nie mógł pozbyć się przekonania, że to on ponosił większą odpowiedzialność, ponieważ jemu to wszystko niczym nie groziło. Nic na tym nie tracił. Miał znakomitą pracę w wielkim mieście i stałą partnerkę, do których niedługo wracał. Lora z kolei była sama, w dodatku niedawno boleśnie zraniona. Romans z przybyszem mógł jej poważnie zaszkodzić. Powinien być ostrożniejszy.

- Bardzo cię przepraszam. Naprawdę.

- Przestań to powtarzać - odparła cicho. - Przecież to ja zaczęłam. Nie zastanowiłam się, a trzeba było.

- Ty? To ja się nie zastanowiłem!

Uśmiechnęła się blado.

- Dobrze. Nie zastanowiliśmy się oboje. A teraz się odwróć, proszę.

- Ubrała się, podniosła z podłogi jego koszulę, pozwoliła mu się obrócić z powrotem i podała mu ją. Gdy skończył zapinać guziki, odezwała się znowu, a tym razem jej głos brzmiał spokojnie i stanowczo:

- Wszystko jasne. Jestem uczulona na czereśnie.

Jon zdębiał.

- Co takiego?!

- Nie mogę zjeść nawet jednej, bo natychmiast dostaję wysypki. Jak byłam młodsza, nie umiałam się powstrzymać. Mama zabraniała mi ich jeść, więc tym bardziej mnie kociło. Zawsze obiecywałam, że ich nie tknę, a potem nic z tego nie wychodziło.

- Rozumiem. Jestem czereśnią - domyślił się.

- Tak.

- O, gorzej o mnie mówiono - zażartował, lecz Lora spojrzała na niego z powagą.

- Jon, czereśnie są wspaniałe, ale ja po nich choruję.

Skinął głową, a wtedy wyciągnęła do niego rękę.

- To co? Jesteśmy przyjaciółmi?

Jak można było poprzestać na przyjaźni z kobietą, która działała na niego jak narkotyk? Uzależnił się od przyjemności, jaką dawały rozmowy z nią, pocałunki, pieszczoty... Jak to dobrze, że niedługo wraca do domu, a jutro przyjeżdża Trina!

Nagle coś sobie uświadomił.

Lora sięgała po czereśnie, gdyż miała zakaz jedzenia ich. Działał na nią urok zakazanego owocu. Nie powiedziała

przecież ani razu. że je lubi, czy nawet przedkłada nad inne owoce. Nie, nic z tych rzeczy. Porównała go do czereśni. Wszystko jasne. Pociągał ją, ponieważ mieszkał daleko i miał stałą partnerkę, więc był niedostępny. Przyjechał na krótko i zaraz wyjedzie. Kolorowy i kuszący owoc poza jej zasięgiem...

Gdyby był wolny i stąd, nawet by na niego nie spojrzała.

- Tak. Jesteśmy przyjaciółmi.

Teraz ona kiwnęła głową, po czym wyszła, nie oglądając się za siebie.

RS

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W sobotę po południu Lora wpadła w panikę. Co ona miała na siebie włożyć? Czemu nie kupiła sobie nic nowego?

Oczywiście z braku pieniędzy. Wydatki związane z hodowlą lilii, opłacaniem prawnika i prowadzeniem domu pożerały prawie całe jej dochody. Nie mogła sobie pozwalać na takie luksusy jak kupowanie niepotrzebnych ubrań. Nie zamierzała robić wrażenia na Jonie, ani tym bardziej na Nolanie. A już na pewno nie na Trinie!

Tamta z pewnością włoży coś wystrzałowego... Wysoka, długonoga, jasnowłosa i znakomicie ubrana dziewczyna z Beverly Hills będzie królową wieczoru. Lora nawet nie ma co myśleć o konkurowaniu z nią.

Spojrzała na zegarek. Jon niedawno odebrał tamtą z lotniska, pewnie już są u niego w domu. Czy właśnie teraz się kochają?

Ta myśl okazała się wprost nie do zniesienia. Lora upewniła się, czy doktor Reed jej nie potrzebuje i pojechała na zakupy. Przeszła przez centrum handlowe jak burza, pośpiesznie przebierając w dziesiątkach sukienek, wreszcie trafiła na czerwoną. Krótką. Obcisłą. Wyszywaną cekinami. Seksowną.



1 kupiła do niej czerwone pantofle.

Wróciła do domu doktora, zrobiła obiad, wykapała się, przebrała, uczesała, umalowała i o szóstej była gotowa. Siedziała w swojej sypialni na brzegu łóżka, starając się głęboko oddychać i nieco uspokoić. Gdy piętnaście minut później odezwał się dzwonek u drzwi, aż podskoczyła. Ależ ten Jon ma tupet! Przyjeżdża trzy kwadranse wcześniej, zakładając, że ona już jest gotowa i czeka?

Faktycznie, była już gotowa i czekała jak na szpilkach, ale to nie miało nic do rzeczy.

Pobiegła do drzwi, otworzyła je gwałtownie... Do domu weszła Ella i jakby nigdy nic pomaszerowała do gabinetu doktora, rzucając przez ramię:

- Pięknie wyglądasz.

Lora zamknęła drzwi i pobiegła za babcią.

- Co ty tu robisz?!

- Razem z twoją mamą postanowiliśmy niańczyć Vica dziś wieczorem w twoim zastępstwie, skoro umówiłaś się z Jonem na randkę.

Weszły do gabinetu. Na widok Lory doktor Reed aż gwizdnał z podziwu.

- A niech mnie!

Niemal nie zwracała uwagi na ich komplementy. Powinna natychmiast zadzwonić do Jona i uprzedzić go, by nie przyjeżdżał tutaj! Niech spotkają się gdzieś w mieście. Babcia nic może zobaczyć Triny i zorientować się, że coś jest nie tak. Dzięki rzekomemu romansowi z Jonem Lora od jakiegoś czasu nie musiała spotykać kolejnych kandydatów na męża. Co za ulga! Nareszcie przestali pojawiać się wokół niej faceci, którzy przyglądali jej się z taką miną, jakby była

samochodem na sprzedaż, a oni mieli ochotę na jazdę prób-  
ną przed ewentualnym kupnem...

- Chwileczkę, babciu. Gdzie mama?

- Musiała zostać w domu, ma migrenę. Tylko ja będę  
dziś zabawiać Vica.

Ku kompletnej zgrozie Lory w tym momencie znów za-  
brzmiał dzwonek u drzwi. A jednak Jon miał tupet!

- Ach, właśnie - odezwała się nagle babcia. - Twoja  
mama dzwoniła dziś tu do ciebie, ale byłaś na zakupach.  
Otóż...

- Potem mi powiesz, babciu - przerwała jej Lora, po-  
nieważ dzwonek rozlegał się coraz natarczywiej. - Muszę  
otworzyć!

Popędziła przez hol, głowiąc się jednocześnie, jak bez  
wzbudzania niczych podejrzeń nie wpuścić Triny i Jona do  
środka.

Na progu stał... Calvin.

- O, jesteś gotowa. Super - powiedział takim tonem, jakby  
rozstali się poprzedniego dnia, umawiając się na randkę,

- Ty? - wykrzyknęła z najwyższym zdumieniem. -- Tu-  
taj? Jak to?

- Pogadamy w knajpie.

Zlustrował ją spojrzeniem ranczera oceniającego nową  
klaczkę. To porównanie nasunęło jej się samo, ponieważ  
były narzeczony, który wyjechał do Chicago w trzyczęścio-  
wym biznesowym garniturze, wrócił do Fern Glen ubrany  
w stylu country. Szerokoskrzydły kapelusz, fantazyjna dżin-  
sowa koszula, spodnie z frędzlami po bokach i kowbojskie  
buty.

- Wyglądasz... inaczej - zauważyła.

Pstryknął w rondo kapelusza gestem kowboja z westernu.

- Mieszkam teraz w Montanie.

- Miałeś jechać do Chicago.

Wzruszył ramionami.

- Pojechałem, ale to nie to. Wyścig szczurów. Co innego Montana. Spodobałaby ci się.

- Nie wątpię.

Jego orzechowe oczy wpatrywały się w nią przenikliwie.

- Nie cieszysz się na mój widok?

- Po prostu jestem zaskoczona. Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałam się zobaczyć.

- Twoja mama nic ci nie powiedziała? Rozmawiałem z nią, to od niej wiedziałem, gdzie cię szukać.

- Nie, nie powiedziała. Próbowała dziś do mnie. dzwonić, ale mnie nie zastała.

- Aha. No, to teraz już wiesz. Wróciłem.

- Po co?

- To chyba jasne.

- Jak dla kogo.

- Dobra, zaraz ci wszystko wyłożę. Chodź.

Zrobiło jej się gorąco. W każdej chwili może zjawić się Jon! Nie miała pojęcia, jak długo już rozmawia z Calvinem, z tego wszystkiego straciła poczucie czasu.

- Nie mogę. Kiedy indziej. Nie teraz.

Pochylił się, opierając dłoń o drzwi, jakby domyślał się, że Lora może mu je zatrzasnąć przed nosem. Słusznie się domyślał, właśnie miała to zrobić.

- Czekaj, skoro nie wiedziałaś o moim przyjeździe, to czemu jesteś taka wystrojona? - spytał podejrzliwym tonem.

Lora wreszcie ochłonęła z szoku.

- Jestem umówiona - wyjaśniła.
- Umówiona?!
- A co ty myślałeś? Że siedzę tu w kącie, usychając z tęsknoty za tobą?
- No... nie.
- Tak - ucięła. - Dokładnie tak myślałeś.
- Lora, kotku...

Żachnęła się.

- Daruj sobie, dobra? Zerwałeś zaręczyny? Zerwałeś. To spadaj teraz, nie jestem zainteresowana.

- Ten twój nowy kochaś to kto? - warknął Calvin.

- Nie twoja sprawa. - Z całej siły zatrzęsnęła drzwi i oparła się o nie.

Ku swojej uldze usłyszała, jak Calvin zbiega ze schodków, wsiada do samochodu i odjeżdża. Nogi się pod nią trzęsły. Gorzej, cała się trzęsła. A chciała mieć chociaż godzinę spokoju, by opanować się przed spotkaniem z trojgiem tamtych...

Niedługo potem znów rozległ się warkot motoru. Wyjrzała. Nie rozpoznała wozu, lecz za kierownicą siedział Jon. Widać wynajął większy samochód, by nie musieli tłoczyć się we czwórkę w jego niedużym porsche.

" Chwyciła torebkę ze stolika w przedpokoju, krzyknęła w głąb domu, że wychodzi i szybko wyskoczyła na zewnątrz.

Jon zdążył wysiąść, obrócił się ku niej z uśmiechem i nagle zmienił się na twarzy. Lora wpadła w popłoch. Czy naprawdę aż tak źle się ubrała? Przesadziła z tym strojeniem się? Rzut oka na Jona i siedzącą w fotelu pasażera olśniewającą blondynkę potwierdził jej podejrzenia.

Oboje byli ubrani z dyskretną elegancją. On miał na sobie czarną koszulę i spodnie oraz ciemnoszarą marynarkę, ona z kolei kremowy blezer i białe spodnie. Wszystko to było bardzo proste, w doskonałym gatunku i zapewne sporo kosztowało. Pasowali do siebie idealnie.

Lora zawstydziła się. Te cekiny...

Nie mogła jednak wrócić teraz do domu i przebrać się w coś odpowiedniejszego. Trudno, trzeba robić dobrą minę do złej gry.

Gdy podeszła, Jon chwycił ją za rękę i pochylił się ku niej. Uświadomiła sobie wtedy z przerażeniem, że rozpoznaje zapach jego wody kolońskiej i że natychmiast przywodzi jej to na myśl wspomnienie intymnych momentów spędzonych w jego obecności.

Coraz lepiej. Właśnie przegnała na cztery wiatry byłego narzeczonego, zaraz ma poznać jakiegoś nowego mężczyznę, a tymczasem pragnie partnera innej kobiety, która zresztą znajduje się tuż obok! Jeśli od tego nie zwariuje, to będzie cud.

- Słuchaj, jest drobny problem - wyszeptał pośpiesznie Jon. - Zarezerwowałaś stolik w „Karczmie”?

Przyznała z zakłopotaniem, że wyleciało jej to z głowy.

- Całe szczęście! Jedziemy do pubu. Tam dziwaczne ubranie nie będzie rzucać się w oczy.

Spojrzała na swoją czerwoną sukienkę. Owszem, była strojna, ale czy dziwaczna? Według Lory raczej bardzo ładna.

Jon zauważył jej spojrzenie.

- Przecież nie mówiłem o tobie, coś ty! - zaprotestował szybko. - Zaraz zobaczysz.

Otworzył tylne drzwi samochodu, a gdy zajęła miejsce, dokonał krótkiej prezentacji.

- Cześć! - rzuciła Trina przez ramię i na tym poprzestała.

Jednak w samochodzie znajdował się jeszcze ktoś - wysoki i szczupły mężczyzna z płową brodą i długimi włosami, ubrany w szafirowy smoking i różową koszulę z żabotem. I miał lakierki, a na nich staroświeckie getry jak z przedwojennego filmu. Lora nigdy nie widziała czegoś podobnego. To bez wątpienia musiał być ów malarz.

- Bardzo ładny strój - powiedziała.

Łagodna twarz Nolana rozjaśniła się. Miał wyjątkowo ujmujący uśmiech.

- Dzięki - odparł tak cicho, że musiała domyślać się z ruchu warg, co powiedział. - To po moim tacie.

W duchu odetchnęła z ulgą. Nie mogłaby sobie wymarzyć lepszego partnera na ten wieczór. Calvin i Jon wytrącali ją z równowagi, choć każdy w inny sposób. Przy Nolanie odpocznie.

- Podobno pięknie malujesz. Opowiedz mi o swoich obrazach - poprosiła.

Samochód mszył. Przez całą drogę wymanikiurowana dłoń Triny spoczywała na karku Jona, jej palce od niechcenia bawiły się jego brązowymi włosami. Przekaz był jasny. „On jest mój”.

Trina obrzuciła wymownym spojrzeniem nieco kiczowaty obrazek nad stołem i tak ostrożnie przysiadła na krześle, jakby bała się pobrudzić. Jonowi do tej pory zależało głównie na tym, by to Nolan nie czuł się zakłopotany i dopiero

teraz przyszło mu do głowy, że powinien był też zatroszczyć się o odczucia Triny. Nie chodziła po byłe pubach. Czy będzie się tu dobrze bawić?

- A gdzie menu? - spytała, patrząc na pusty stół.
- Jest wypisane kredą na tablicy przy barze - *wyjaśnił Jon*.
- A lista win?
- Chyba nie mają tu nic takiego.
- Za to mają dwadzieścia sześć odmian lokalnego piwa
- oznajmiła z dumą Lora.

Nolan spojrział na nią z podziwem. Jon też, choć z innego powodu. W tej czerwonej sukience i z umalowanymi na czerwono ustami wyglądała cudownie. Nic, tylko ją całować. Powinien wstydzić się takich myśli, ale ku swemu własnemu zaskoczeniu nie czuł żadnego wstydu. Tylko pragnienie.

- Jon, czy tu zawsze jest tak mgliście i mokro? - odezwała się Trina.

Spojrział na nią z lekkim roztargnieniem.

- Eee... nie.
- Latem jest mgła tylko rano, potem rozwiewa ją wiatr
- wyjaśnił Nolan.
- Za to zimą jest cały czas - wtrąciła beztrąsko Lora.
- I pada. A jesienią i wiosną mamy wszystko na przemian. I mgłę, i deszcz, i wiatr.

- Jak wy to możecie wytrzymać? Straszne rzeczy dzieją się tu z włosami. Chyba przez cały ten pobyt będę musiała robić to samo co Lora.

- A co ona robi? - zainteresował się Jon, patrząc na wijące się loki, które swobodnie opadały Lorze na ramiona, wyraźnie odcinając się od jasnej skóry.

- Nic nie robię.

- Właśnie - zagruchała słodko Trina. - Tutejsze kobiety po prostu nic nie robią z włosami. Tu trzeba zdać się na naturę, trudno.

- Można też nosić kapelusz. Ja na przykład mam kilkanaście - rzuciła Lora.

Jon nic nie rozumiał. Rozmawiały o typowych kobiecych sprawach, tak? Fryzury, fatałaszk... Czemu więc miał wrażenie, jakby mówiły o czymś innym? Wyczuwał dziwne napięcie między obiema kobietami. W porządku, Lora mogła być spięta z powodu tamtej intymnej sytuacji, ale co ugryzło Trinę?

- Obie macie wspaniałe włosy - powiedział z całym przekonaniem.

- Twoje mają barwę dzikiego łubinu na tutejszych wydmach - oznajmił nagle Nolan, zwracając się do Triny. - Taka bardzo jasna żółć... Piękny kolor.

Zaśmiała się perliście. Jon wiedział, że długo ćwiczyła ten rodzaj śmiechu.

- Jesteś słodki. - Sięgnęła po torebkę i wstała. - Jon, zamów dla mnie wino, wiesz, co lubię. Najlepiej, gdyby mieli Oregon Pinot Noir. Piliśmy go w sylwestra u Stelli, pamiętasz? Przepraszam na chwilę.

Jonowi z niezrozumiałych dla niego powodów stanęła nagle przed oczami piękna pani Pullman, nienawidząca kotów. Szybko odpędził od siebie to skojarzenie.

Nolan zaofiarował, że pójdzie po napoje. Lora i Jon złożyli zamówienie, Nolan powtórzył sobie wszystko kilka razy dla pewności i poszedł do baru.

- Przemięły człowiek - stwierdziła Lora, odprowadzając



go wzrokiem. - Inny niż wszyscy. Wyjątkowo bezpreten-  
sjonalny.

- Tak. Mówiłem, że warto go poznać.

- A Trina jest bardzo atrakcyjna.

Poprawił kołnierzyk, który nagle zaczął go uwierać.

- Wiem.

Chciał dodać, że Lora też i że wyjątkowo jej do twarzy  
w czerwonym, w którym powinna chodzić zawsze, ale nie  
zdażył.

- Dobrze, wyjaśnij mi teraz, skąd ta nagła zmiana pla-  
nów? - spytała. - Czemu nie chciałeś jechać do „Karcz-  
my”? Co się stało?

- Ze względu na Nolana. Gdybyśmy pojechali do ele-  
ganckiej restauracji, swoim ubiorem zwracałby na siebie po-  
wszechną uwagę i czułby się zakłopotany. Chciałem mu te-  
go oszczędzić.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Co ty opowiadasz? Znam go od niecałej godziny, ale  
mogę cię zapewnić, że on w ogóle by się nie przejął tym,  
co inni sądzą na temat jego stroju. .

- Słuchaj no, panno mądralińska, nie było cię przy tym,  
jak żalił mi się, że żadna kobieta nie zechce faceta, który  
wygląda tak jak on.

- A co wtedy miał na sobie?

- Jakieś stare łachy pochlapane farbą.

- Właśnie. A teraz ma smoking i getry i jest bardzo  
dumny ze swojego wyglądu. Nikt i nic nie może go za-  
wstydzić. Przecież to widać na kilometr!

- W porządku, przekonałaś mnie. Nie miałem racji. Wi-  
dać rozumiesz go lepiej niż ja. Wiedziałem, że się dogadacie

- mruknął. Powinien się cieszyć, ponieważ Lora i Nolan chyba przypadli sobie do gustu, ale... Ale jakoś się nie cieszył. - A tak w ogóle to cudownie wyglądasz.

Otworzyła usta, po czym bez słowa znowu je zamknęła. Poczłł nieco przewrotną satysfakcję. Ha! Po raz pierwszy nie wiedziała, co powiedzieć. Ona, która zawsze na wszystko miała odpowiedź!

- Dzięki - wymruczała wreszcie cichutko. - Ty też - dodała jeszcze ciszej.

Ich spojrzenia spotkały się.

Jon naraz poczuł pragnienie, by dowiedzieć się, co ona naprawdę czuła poprzedniego dnia w jego mieszkaniu. Czy rzeczywiście był dla niej tylko zakazanym owocem, więc podniecającym? Czy jednak nie kryło się za tym coś więcej? Miał wrażenie, że wyczuł... co właściwie?

Lora odwróciła wzrok.

- Cieszysz się z przyjazdu Triny?

- Oczywiście - odparł natychmiast. Szczegóły zachował dla siebie.

Odkąd spotkali się z Triną na lotnisku, nic jej się nie podobało. Jej zdaniem sekwoje były ponure, plaża wietrzna i nieprzyjemna, a żółty bukiet zbyt jaskrawy. Zaczęło mu to trochę działać na nerwy. Popołudnie spędzili oddzielnie, on w lecznicy, ona u fryzjera.

Powiedzieć o tym Lorze? Ona pewnie myśli, że oni...

Za dużo sobie wyobrażasz, jej pewnie w ogóle nie obchodzi, co robiliście z Triną przez tych kilka godzin, odezwał się jakiś głos w jego głowie.

A jednak mogłoby ją to obchodzić, odpowiedział sam sobie. Chciałbym, żeby ją obchodziło...

Trina i Nolan wrócili jednocześnie. Malarz dźwigał zastawioną tacę. Lora poderwała się, by mu pomóc, podczas gdy Trina ostrożnie przysiadła na swoim krześle.

- To jedyne wino, jakie tu mają - oznajmił Nolan, stawiając przed nią kieliszek białego wina.

Trina pijała wyłącznie czerwone, ale zdobyła się na odrobinę uprzejmości i wydusiła z siebie coś na kształt podziękowania. Gdy czekali na zamówione dania, nie brała udziału w rozmowie, jej pełen dezaprobaty wzrok błędził po małomiasteczkowym pubie, który musiał wydawać jej się obskurny i prowincjonalny. Jon czuł się coraz gorzej. Czemu jednak nie zawiózł ich wszystkich do restauracji? Siedzieliby teraz przy stoliku nakrytym śnieżnobiałym obrusem, podano by im kartę win, Trina byłaby zadowolona.

Ożywiła się, dopiero gdy rozmowa zeszała na temat zwierząt i Nolan opisał swojego teriera.

- Jakbyś mówił o Bitsym! - zawołała. - Niestety, mój pies zdechł w zeszłym tygodniu. Nie było cię wtedy przy nas, Jon - dodała z wyrzutem. - Wolałeś pomagać jakiemuś staremu weterynarzowi, którego nawet przedtem nie znałeś.

To było nielojalne, pomyślał z nagłym gniewem. Nie powinna czynić mu wyrzutów przy innych.

Odwróciła się od niego ku Nolanowi i położyła opaloną dłoń na kolanie malarza.

- Wpadłabym do ciebie któregoś dnia, dobrze? Chciałabym zobaczyć twojego psa, to byłaby dla mnie jakaś pociecha.

- D-dobrze - zająknął się zaskoczony Nolan.

Tymczasem Lora zaczęła się dziwnie zachowywać. Dla odmiany to ona przestała brać udział w toczącej się przy

stole rozmowie, jej uwaga skupiła się na barczystym człowieku w kowbojskim ubraniu, który właśnie wszedł do pubu. Tamten też prawie nie odrywał od niej oczu. Jona rozdrażniło to jeszcze bardziej.

Rozległa się nastrojowa muzyka i Trinie natychmiast poprawił się humor. Zwróciła się z powrotem do Jona.

- Może byś mnie poprosił do tańca, kochanie? - Pogłaskała go po policzku.

Kiedyś te jej nagłe zmiany nastroju wydawały mu się czarujące, bardzo kobiece. Teraz działały mu na nerwy. Nie miał ochoty z nią tańczyć. Zerknął na Lorę i ku swemu zaskoczeniu ujrzał, jak ona żarliwie szepcze coś Nolanowi do ucha. Ach, to taka z niej flirciara?! Poprzedniego dnia obściskiwła się z nim, przed chwilą otwarcie wlepiła wzrok w tamtego kowboja, a teraz klei się do Nolana, choć dopiero go poznała? Zerwał się na równe nogi i chwycił Trinę za rękę.

- Słusznie, zatańczmy - warknął prawie.

Gdy znaleźli się na kawałku wolnej przestrzeni, która służyła za parkiet, Trina przytuliła się do niego, oparła głowę na jego ramieniu. Wzrok Jona bezwiednie powędrował ku Lorze. Ona również na niego spojrzała, więc ich spojrzenia się spotkały.

Oboje szybko spuścili oczy.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Pocałuj mnie - zażądała Lora, odwracając się do Nolana. - Szybko!

Spostrzegła, że Calvin kieruje się w ich stronę, musiała więc natychmiast coś wymyślić. Zdażyła wcześniej szepnąć malarzowi, by ze względu na jej dawnego narzeczonego udawał jej sympatię. Chyba nie do końca zrozumiał, o co chodzi, bo patrzył na nią ze zdumieniem i nie reagował. W tej sytuacji z desperacji pocałowała go sama.

Połąskotała ją jego broda, poza tym Lora nie odczuła żadnych innych wrażeń.

Nad nimi rozległo się znaczące chrząknięcie. Odsunęli się od siebie i podnieśli wzrok.

- To ten twój nowy... przyjaciel? - spytał Calvin. - Czyli niepotrzebnie jechałem taki kawał drogi, tak?

Lora oniemiała na moment.

- Jak to? Chcesz mi powiedzieć, że wróciłeś do mnie?

- Nie tylko do ciebie, ale i po ciebie - uściślił. - Żeby wziąć ślub i zabrać cię do Montany.

Wszystko wokół niej zamilkło i znikło. Widziała tylko mężczyznę, który ją kiedyś zostawił, a teraz chciał, by znów byli razem. Spłynął na nią niebiański spokój. Smutek i żal spowodowane odejściem narzeczonego rozwiały się bez śladu.

- Nie wierzę własnym uszom.

Uśmiechnął się z satysfakcją.

- Wiedziałem, że cię zaskoczę.

- To mało powiedziane... - Naraz ton jej głosu zmienił się, stał się ostry. - Calvin, skoro nie chciałam jechać do Chicago, to czemu nagle miałabym jechać do Montany? Puknij się w głowę!

Przestał się uśmiechać.

- Czy to przez tego fircyka...

- Odczep się od Nolana. Wracaj do Montany i tam sobie kogoś przygruchaj, tylko uprzedź tę biedną dziewczynę, że jak cię znajdzie ochota, to spakujesz manatki i pojedziesz szukać szczęścia gdzie indziej! - Odwróciła się do niego plecami.

- Już wyszedł - szepnął chwilę później Nolan. - Czy wszystko w porządku? - zatroszczył się.

- Tak. Dzięki. Przepraszam cię za ten pocałunek. - Uśmiechnęła się. - Wiesz co? Wymyśliłam, jak ci się odwiedzę. Mogłabym wieszać u nas w kwaciarni twoje obrazy, byłyby na sprzedaż. Co ty na to? Umowa stoi?

- Stoi - ucieszył się Nolan.

Stuknęli się kufłami piwa jak starzy przyjaciele.

Lora, uszczęśliwiona, że wreszcie odchorowała Calvina i odzyskała kontrolę nad własnym życiem, rozejrzała się z zadowoleniem po zatłoczonym pubie. Jej wzrok napotkał spojrzenie Jona i nagle jej świeżo odzyskany spokój prysł jak bańka mydlana, bo zrozumiała, że zakochała się w niewłaściwym mężczyźnie.

Znowu.

Lora z ciężkim sercem układała olbrzymi bukiet zamówiony dla jakiejś pani przez jej męża z okazji pięćdziesiątej rocznicy ślubu. Niektórzy to mieli szczęście...

Czemu ona nie mogła zakochać się szczęśliwie? Dlaczego los postawił na jej drodze Jona Woodsa, wziętego weterynarza z dużego miasta, w dodatku już mającego dziewczynę? Swoją drogą nie pojmowała, jak taki wartościowy człowiek mógł związać się z kimś tak płytkim i próżnym. Czy on w ogóle miał o czym z nią rozmawiać?

Prawdopodobnie uważał Trinę za lepszą niż była w istocie. Niewykluczone, że w Beverly Hills, otoczona zbytkiem i liczącymi się ludźmi, potrafiła sprawiać wrażenie czarującej. W małej miejscinie nie miała się dla kogo starać. Wyszła z niej prawdziwa natura.

A jeśli Jon dzięki temu przejrzy na oczy, zostawi tamtą i... I lada moment wejdzie do kwaciarni, by wyznać Lorze dozgonną miłość? Och, tak, potrafiła to sobie wyobrazić...

Nie, nawet wtedy nic by z tego nie wyszło. Jon męczył się w Fern Glen. W swoim mieście miał zostać współwłaścicielem lecznicy, tu byłby tylko szeregowym prowincjonalnym weterynarzem. Uciekłby w końcu tak samo jak Cal--- i jak jej ojciec.

Ona z kolei nie mogła wyjechać z nim, poświęcić swoich planów dla jego kariery. Nie. Musiała być rozsądna. A jednak za każdym razem, gdy otwierały się drzwi kwaciarni, serce mocno biło jej w piersi. Może to Jon? Umierała z pragnienia, by go zobaczyć.

Tylko w niewielkim stopniu poprawił jej humor telefon od prawnika, który umówił się z nią na przyszły poniedziałek, by wreszcie podpisać dokumenty. Zadzwoił też doktor

Reed z informacją, że w sobotę wydaje przyjęcie dla przyjaciół, ponieważ czuje się już znacznie lepiej i ma ochotę to uczcić. Chciałby też coś ogłosić. Oczywiście do obsługi przyjęcia zatrudni firmę cateringową, Lora będzie jedynie czynić honory pani domu.

Czy to, co zamierzał ogłosić, miało związek z zachowaniem mamy i babci? Obie wyglądały na dziwnie przejęte. Na szczęście dzięki temu zwracały mniejszą uwagę na nią i nie zorientowały się w jej nastroju, ten zaś pogarszał się tak bardzo, że w końcu nie wytrzymała i postanowiła jechać do Nolana. Zgodnie z umową miała do niego wpaść w tym tygodniu i obejrzeć obrazy. Wszystko będzie lepsze od tego ciągłego spoglądania na drzwi!

Dom Nolana znajdował się na uboczu, schowany za drzewami. Na końcu prowadzącej do niego drogi stała odrapana półciężarówka i jakiś nowy samochód. Lora zaparkowała za nimi, wysiadła, przeszła parę kroków i nagle usłyszała wybuch perlistego śmiechu. Rozpoznałaby go na końcu świata! Powinna była też od razu rozpoznać ten wynajęty samochód. Przyłgnęła do boku półciężarówki. Za nic nie chciała spotkać się z Jonem i Triną.

Zza domu wyłonił się Trina z Nolanem. Trzymali się za ręce, do ich stóp łasił się śliczny czarny terier. Przystanęli i... zaczęli się całować.

Całowali się i całowali, a Lora była coraz bardziej wściekła na samą siebie. Co ją podkusiło, by ściągać tę zołzę do Fern Glen? Gdyby tamta siedziała spokojnie w Beverly Hills, nie spotkałaby Nolana i nie zdradziłaby z nim Jona. Jak Jon będzie się czuł, gdy się o tym dowie? Głupie pytanie. Będzie się czuł podle...



Bill zaszczeakał, by zwrócić na siebie uwagę. Trina ode-  
rwała się od malarza i zaczęła bawić się z jego psem. Na-  
zywała go „Bitsy”.

Nagle Lora zrozumiała wszystko. Biedny nie tylko Jon,  
ale i Nolan. Wcale nie chodziło o niego...

W drodze do sklepu z winami Jon musiał minąć kwia-  
ciarnię. To znaczy, nie musiał, ale... Ale jakoś tak wyszło.  
W ostatniej chwili zwalczył pokusę, by zajrzeć do środka.  
Po chwili jednak zaczął zwalniać. Przypomniała mu się Lora  
w czerwonej sukience. Jej ponętne usta. Jej drobne piersi.

Przypomniało mu się też, jakim wzrokiem gapiła się na  
tego kowboja i jak potem flirtowała z Nolanem. Przyspie-  
szył kroku.

Ku jego uldze za ladą nie stała pani Pullman, tylko lekko  
siewięjący blondyn w średnim wieku. Okazało się, że to wła-  
ściciel, Frederick Pullman.

- Jestem Jon Woods, weterynarz. Pańska żona przynios-  
ła do mnie państwa kotkę.

Odpowiedziało mu ciężkie westchnienie.

- Wie pan, dotąd nie mogę przeboleć śmierci Kiki.

- Słucham?

- No, ta nasza kotka, która wpadła pod samochód,  
nazywała się Kiki. - Pokręcił głową. - Victoria powie-  
działa mi, że to się stało tuż po moim wyjeździe. Taka  
szkoda...

Jon milczał przez chwilę, zaskoczony niespodziewanym  
obrotem sprawy. Co teraz? Wyjawić prawdę? To mogło mieć  
poważne konsekwencje dla związku Fredericka i Victorii.  
Czy wolno się wtrącać w aż tak prywatne sprawy?

Spróbował wyobrazić sobie, co on sam by wolał w takiej sytuacji - żyć w błogiej nieświadomości, czy wiedzieć, że partnerka kłamie i zmierzyć się z tym faktem?

- Kiki nie wpadła pod samochód. Jest cała i zdrowa. Co więcej, urodziła jedno młode.

- Naprawdę? Ach, to dlatego była taka gruba! Mam więc teraz dwa koty! - Frederick Pullman rozpromienił się, a potem gwałtownie spowaźniał. - Nic nie rozumiem. Czemu moja żona nic mi nie powiedziała?

Jon upewnił się, że poza nimi w sklepie nie ma nikogo.

- Usiądźmy na chwilę i porozmawiajmy.

Ten tydzień dłużył się Lorze niemiłosiernie. Dom doktora Reeda wydawał jej się pusty bez Jona, zwłaszcza że stary weterynarz często o nim wspominał. Męczyło ją też jeszcze coś. Ostrzec Jona przed dwulicowością Triny, czy nie wtrącać się i pozwolić, by swoje prywatne sprawy rozstrzygali sami? Na pewno nie wypada dzwonić do niego z taką informacją. Gdyby jednak to on się odezwał, mogłaby jakoś delikatnie uświadomić mu prawdę.

Tymczasem Jon nie dawał znaku życia. Któregoś wieczoru Lora zorientowała się, że doktor Reed ma gościa, zbiegła więc w te pędy po schodach, z trudem zwolniła przed gabinetem i zajrzała tam pod byle pretekstem. To jednak nie Jon złożył przyjacielowi późną wizytę, tylko jej mama. Lora wycofała się szybko, ucieszona ze względu na tych dwoje, ale i dziwnie -zasmucona. Zadzwoiła do ojca, czując potrzebę porozmawiania z nim. Niestety, wciąż nie wrócił ze swojej romantycznej eskapady. Widać ta nowa przyjaciółka okazała mu przychyłność...

Ogarnęło ją dotkliwe poczucie osamotnienia. Dni mijały, szare i beznadziejne. Brakowało jej Jona coraz bardziej. Chciałaby z nim porozmawiać. Ugotować mu obiad. Móc na niego patrzeć.

Oczywiście wiedziała od dawna, że on wyjedzie i więcej go nie zobaczy, ale czy to musiało aż tak boleć?

Nadeszła sobota. Lora włożyła swoją zielonkawą sukienkę i w progu witała gości doktora Reeda, który zdążył już wydobrzczyć do tego stopnia, że mógł odstawić kule i poruszać się dość swobodnie o lasce. Nie ma to jak towarzystwo pięknych kobiet, odpowiadał pogodnie, gdy go pytano, jak zdołał tak szybko wrócić do zdrowia.

Mama i babcia Lory przybyły razem. Angela w czarnej sukience wyglądała elegancko, a Ella w żółtej promiennie. Pierwsza sprawiała wrażenie zdenerwowanej, druga od razu poszła po kieliszek czegoś mocniejszego. Lora nie mogła nawet spytać, co się dzieje, gdyż kolejny gość stukał do drzwi. Otworzyła i ujrzała Jona.

Patrzyli na siebie bez słowa przez dłuższą chwilę, potem on pochylił się i na powitanie pocałował Lorę w policzek. Och, otoczyć jego szyję ramionami, wyszeptać mu do ucha, że zrobiła coś strasznego, zakochała się w nim i teraz już przepadło, on też musi ją pokochać...

Opanowała się z najwyższym trudem i spojrzała ponad jego ramieniem, by przywitać się z Triną. Ujrzała tylko zbliżającą się parę w średnim wieku.

- Ona nie przyjdzie - powiedział Jon, trafnie interpretując jej spojrzenie. Wszedł do środka i wmieszał się w tłum gości oblegających szwedzki stół.

Lora półprzymtomnie witała kolejne osoby. Wreszcie nieco doszła do siebie i dopiero wtedy spostrzegła, że jej mama nic nie je i wydaje się na coś czekać. Babcia cały czas dotrzymywała jej towarzystwa. Lora podeszła do nich.

- Babciu, co się dzieje z mamą? - szepnęła.

- To dla niej wielki dzień. Nie tylko dla niej...

Lora nie zdążyła spytać o nic więcej.

- Moi drodzy, pozwólcie mi wygłosić parę słów - rozległ się tubalny głos doktora Reeda. - Jak widzicie, jestem już na chodzie...

Rozległy się śmiechy i brawa.

- .. co więcej, dzięki ślicznej dziewczynie, która się mną opiekowała, poznałem wspaniałą kobietę.

Angela wzięła swoją matkę za rękę i mocno ścisnęła.

Doktor Reed spojrział na Lorę.

- Moja droga, chciałem ci podziękować za to, że przedstawiłaś mnie swojej... babci.

Co takiego? Lora aż otworzyła usta ze zdziwienia. Ella wesoło poklepała ją po ręku.

- Nie domyśliłaś się? - szepnęła wnuczce do ucha.

- Przecież on... On jest od ciebie młodszy! - odszepnęła, wciąż nie mogąc dojść do siebie.

- Tylko o dziesięć lat. Za to ty raiłaś mi jakichś połamanych staruszków. Dziewczyno, żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku!

- Ale... A mama? Przecież przychodziła tutaj...

- Gapciu, Vic po prostu doradzał jej w pewnej sprawie. To bardzo mądry człowiek.

Doktor odczekał, aż skończą szeptać, po czym odezwał się ponownie:

- Elloise i ja chcieliśmy ogłosić dzisiaj nasze zaręczyny. Ślub planujemy tak szybko, jak tylko to możliwe.

Posypały się gratulacje. Ell podeszła do narzeczonego, który uściskał ją mocno i ucałował w czoło. Tworzyli razem idealną parę, Lora nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Mimo wszystko jednak żal jej było mamy, która pewnie już na zawsze zostanie sama.

- A to się porobiło - odezwał się nagle Jon, który zmaterializował się u jej boku. Też był zaskoczony i przejęty.

- Chciałaś go dla twojej mamy...

Oboje jednocześnie spojrzeli na Angelę, lecz ona nie zwracała na nikogo uwagi. Z napięciem wpatrywała się w drzwi, jakby spodziewała się, że jeszcze ktoś do nich zadzwoni.

I ktoś zadzwonił.

Angela popędziła ku wejściu jak na skrzydłach. Lora i Jon wymienili zdumione spojrzenia, po czym Lora pośpieszyła za mamą, która zdążyła już otworzyć drzwi i... I utonęła w ramionach wysokiego przystojnego mężczyzny o szpakowatych włosach i szarych oczach o głębokim wejrzaniu. Lora zamarła w pół kroku.

- Tato?!

Państwo Gifford obrócili się ku córce.

- Nic chcieliśmy ci nic mówić, póki nie upewnimy się, że spróbujemy jeszcze raz - wyjaśniła jej matka. - Widywaliśmy się od jakiegoś czasu, George przyjechał i mieszkał w motelu... Teraz już wiemy. Trzeba iść za głosem serca.

Ojciec Lory uśmiechnął się i szeroko otworzył ramiona.

O, nie, nic z tego, pomyślała buntowniczo. Nie możesz tak po prostu wrócić do naszego życia jakby nigdy nic. Jeśli

mama chce, to proszę bardzo, ale ze mną nie pójdzie ci tak łatwo...

W następnej sekundzie wtuliła już twarz w jego ramię, szlochając bez opamiętania. Angela głaskała ją po głowie, a George mocno tulił je obie do siebie.

Jon przyglądał się temu z daleka. Wiedział, że należałoby raczej dyskretnie odwrócić wzrok, ale nie mógł się na to zdobyć. Z sąsiedniego pokoju dobiegała go rozmowa Victora i Elli, którzy ustalali datę ślubu. Poczuli się bardzo... nie na miejscu. Nic tu po nim.

Po raz ostatni zerknął w stronę Lory i jej rodziców, którzy zaszyli się w kącie, by spokojnie porozmawiać, a potem wymknął się na zewnątrz. Nie uszedł daleko, gdy dobiegło go gromkie:

- Hola, mój chłopcze, już nas opuszczasz? Chyba nie na dobre?

Odwrócił się. Victor podszedł do niego, podpierając się łaską.

- Nie, zostanę jeszcze przez tydzień, żeby pomóc ci w lecznicy - uspokoił go Jon. - A tak w ogóle to serdeczne gratulacje.

- Dziękuję. - Stary weterynarz skinął głową. - Gdzie Trina?

- Już jej nie ma - odparł szorstko Jon. Nie miał ochoty rozmawiać na ten temat.

- Świetnie. Możesz wreszcie bez przeszkód zająć się Lorą. Jon spojrzał na przyjaciela ze zmarszczonymi brwiami.

- Do licha, chłopcze, a niby po co chciałem, żebyście mieszkali u mnie razem i zostawiałem was samych na całe

wieczory? Jak tylko spojrzałem na was w szpitalu, od razu wiedziałem, że się kochacie.

Tego Jonowi było już za wiele. Owszem, pożył Lory, ale żeby od razu mówić o miłości? Bez przesady!

Victor zdawał się czytać w jego myślach, ponieważ ostrzegł:

- Nie zmarnuj tego.

- A ty weź pod uwagę, że każde z nas ma swoje własne życie. Ona tu, a ja na południu. W dodatku za bardzo się różnimy. Czasem mam wrażenie, że jesteśmy nie tylko z innych miast, ale i z innych planet.

Victor spojrzał na niego bystro spod krzaczastych brwi wilka morskiego.

- DUBY SMALONE PLECIESZ! - huknął, odwrócił się plecami i odszedł.

Lora niemal zamieszkała w szklarni, ponieważ tylko tu panował spokój. Świat na zewnątrz wydawał jej się zbyt szalony. Mama wyjechała z tatą do San Diego. Babcia przygotowywała wyprawę ślubną i planowała miodowy miesiąc. Trina spędzała pobyt w Fern Glen u Nolana ze względu na jego psa, Calvin szukał w Montanie kolejnej naiwnej. Jon wyjeżdżał. A ona? Jak ta cała burza się przewali, wstąpi do zakonu.

- Mogę wejść? - W uchylonych drzwiach szklarni widniała znajoma sylwetka.

Dopiero w tym momencie Lora uświadomiła sobie, że przez cały czas czekała na niego. Skinęła głową.

Przystanął przed jedną ze szkarłatnych lilii i obejrzał ją z podziwem.

- To jest ta nowa odmiana, którą sama wyhodowałaś? Przepiękna.

- Dziękuję - wymruczała. - Hej, skąd wiesz o nowej odmianie?

- Od twojej babci. Powiedziała też, że dostałaś patent i teraz odsprzedasz go holenderskim szpiegom za ciężkie pieniądze.

Lora uśmiechnęła się z czułością.

- I to się nazywa dochowywanie sekretów!

- O, przepraszam. Tylko ja o tym wiem. Twoja babcia ma do mnie zaufanie.

- Ciekawe czemu?

- Bo ja naprawdę troszczę się o ciebie. Rozumiem, że teraz rodzinny interes jest na twojej głowie?

- Tak. Rodzice potrzebują побыć trochę razem w spokoju.

- Czyli coraz więcej cię tu trzyma... - zauważył cicho. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Wszystko. Nie mogłabym stąd wyjechać. I nie wyjadę.

Zapadła cisza.

- Przyszedłem się pożegnać.

- Wiem - szepnęła z trudem. Oczy jej podejrzanie się zaszklily.

- Nie płacz - poprosił.

Wbrew wysiłkom Lorze nie udało się powstrzymać łez, które zaczęły spływać po jej policzkach. Zacisnęła powieki. Poczuła, jak Jon otacza ją ramionami, lecz nie przytuliła się do niego. Nie chciała przyjacielskiej pociechy, chciała jego miłości. A on chciał się tylko pożegnać...



- Wiesz, że Victor od początku próbował zrobić z nas parę? Dlatego tak chętnie zaprosił nas oboje do siebie.

- Tak, domyśliłam się. Niestety, wyświadczył nam niedźwiedzią przysługę.

Przytulił ją mocniej i z czułością przesunął wargami po jej czole.

- Dlaczego? Dzięki temu mogliśmy lepiej się poznać.

Za chwilę Jon pocałuje ją w usta, a potem skończą na ziemi, zdzierając z siebie ubrania, ogarnięci pożądaniem, niepomini na nic.

Żadnemu z ich nie wyjdzie to na dobre.

Odsunęła się.

- Przepraszam.

Jon podał jej chusteczkę. Gdy Lora osuszyła twarz, odezwał się cicho:

- Trina jest z Nolanem. Pojechała do niego już w sobotę w nocy, bo nie miałem ochoty...

- Przestań! Nie chcę więcej o niej słyszeć. Ona tak naprawdę nie ma z tym nic wspólnego. Nigdy nie miała.

Przyglądał jej się ze zmarszczonymi brwiami. Wyraźnie nie rozumiał przyczyn jej wybuchu.

- Posłuchaj, będę w kontakcie. Zadzwoń albo przyjadę...

- Nie - ucięła twardo. Chciała, żeby już nareszcie było po wszystkim. Niech to się wreszcie skończy. - Już ci powiedziałam. Mam alergię na czereśnie.

Wyraz jego twarzy zmienił się i Lora pozałowała swoich słów, lecz nie mogła ich już cofnąć. Zresztą, co by to dało?

- Czyli jestem dla ciebie tylko zakazanym owocem, tak? Nic ponadto? Ten kowboj też?

- Jaki kowboj? Masz na myśli Calvina?  
- To był ten twój były?  
- Owszem, ale nie posądzaj mnie o zły gust. Przedtem  
lak się nie ubierał. A jeśli już jest jakimś owocem, to raczej  
śliwką-robaczywką... - Ponieważ to pożegnalne spotkanie  
było dla niej prawdziwą torturą, postanowiła je wreszcie  
radykałnie zakończyć. - Dzięki, że wpadłeś. Wszystkiego  
dobrego i w ogóle.

Jon odwrócił się i wyszedł bez słowa.

RS

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zamierzał jechać wprost na południe, lecz w ostatniej chwili skręcił jeszcze na plażę. Pożegna się z nią, jak pożegnał się z pracownikami lecznicy, z Victorem i z Frederickiem Pullmanem, który nie tylko zabrał oba swoje koty do domu, ale też nosił je ze sobą do sklepu i trzymał w wymoszczonym koszu pod ladą. Victoria Pullman wyjechała z miasteczka, nie zostawiając adresu. Jej mąż nie zmartwił się tym zbytnio, podobnie jak Jon nie zmartwił się odejściem Triny.

Nie pojmował, jak przez tych kilka tygodni mogła zmienić się do tego stopnia. Zrobiła się dziwnie płytką, próżna, kapryśna, niewrażliwa na innych. Niemal mu było żal Nolana.

Przebiegł po plaży jakieś dwa kilometry, potem rzucił się na piasek, by chwilę odpocząć. Powinien był wracać do samochodu i wreszcie ruszyć w drogę, ale miło było leżeć na tej pustej plaży. Słońce przygrzewało, chłodny wiatr targał włosy, nad głową krążyły stada ptaków nawołując się przenikliwie. Uśmiechnął się do nich. Jak mógł kiedyś się tutaj nudzić?

Jego myśli nieuchronnie pobiegły ku osobie, z którą nie nudził się ani przez moment. Lora...

Promienna dziewczyna o złotym sercu, jednocześnie nie-

znośna i cudowna. Przypomniął sobie ich zwariowane rozmowy, ich szalone pocałunki... Co on bez niej zrobi?

Jej reakcja przy pożegnaniu zaskoczyła go. Nie spodziewał się łez. Pragnął scałować je z jej twarzy, lecz obawiał się, że jak zacznie, to nie przestanie. I ona też nie potrafiłaby przestać, wiedział o tym doskonale. Nie mogliby się od siebie oderwać. Prawda była taka, że...

Naraz zrozumiał, co jest prawdą, a co było tylko iluzją. Jak mógł tego dotąd nie spostrzec?

Wstrząśnięty swoim odkryciem, zerwał się, by biec do samochodu, ale potknął się o własną nogę, padł jak długi z powrotem na piasek i... I zaczął się śmiać tak, jak nie śmiał się chyba jeszcze nigdy w życiu. Wreszcie opanował się jakoś, podniósł się i popędził z powrotem, krzyżąc na cały głos:

- To nie Trina się zmieniła, idioto! Jest taka sama jak zawsze! To ty się zmieniłeś!

- Gdzie mam to postawić?

Lora spojrzała na doręczyciela, który wszedł do kwiatarni z trzema dużymi paczkami. Nie spodziewała się żadnej poczty. Od dwóch tygodni nie spodziewała się niczego. Jon wyjechał na zawsze. A przecież mogło być inaczej. Przecież chciał zadzwonić albo wpaść z wizytą, ale nie dała mu szans...

- Tu, na podłodze.

Na zaadresowanych do niej przesyłkach nie było danych nadawcy. Gdy została sama, usiadła na podłodze i otworzyła pierwszą paczkę.

Czereśnie. Łubianki pełne soczystych czereśni.

Tylko jedna osoba na świecie mogła jej to przysłać. Ale co to miało oznaczać? Czy to zemsta za to, że na sam koniec potraktowała go szorstko i niemal pokazała mu drzwi? Ze ściśniętym sercem otworzyła następane paczki. Jedna zawierała kilka tuzinów tubek maści na wysypkę, a druga mniej więcej tyle samo opakowań środka przeciw uczuleniom.

Wpatrywała się w to wszystko ze zdumieniem, po czym nagle zrozumiała.

Rozległ się dzwonek, ktoś wszedł do kwaciarni. Podniosła wzrok.

Jon.

Znów wyglądał jak amant filmowy, dwa tygodnie w Kalifornii wystarczyły, by się wspaniale opalił i by jego brązowe włosy zjaśniały. Okulary tylko dodawały mu uroku. Z uśmiechem wyciągnął dłoń i pomógł jej wstać. -

Zamierzała spokojnie czekać, co on powie.

Rzuciła mu się w ramiona.

- Nie mogę w to uwierzyć - szeptała, oplatając jego szyję ramionami, całując jego ciepłą skórę, wdychając znajomy zapach. Koniec z rozsądkiem, koniec z kalkulowaniem! Jak powiedziała mama, trzeba iść za głosem serca.

- A ja nie mogłem już dłużej wytrzymać.

Ujął jej twarz w dłonie. Gdy ich usta zetknęły się, Lora zrozumiała, że pójdzie za nim choćby i na koniec świata.

- Do diabła z kwaciarnią - wymruczała jakiś czas później, gdy Jon odsunął ją od siebie na odległość wyciągniętych rąk, by móc ogarnąć ją zachwyconym spojrzeniem.

- Nie mów tak, włożyłaś w nią tyle pracy - zaproponował, po czym dodał szybko: - Poczekaj, mam ci coś do powiedzenia. Przed samym wyjazdem pojechałem na plażę.

Leżałem na piasku, patrzyłem w niebo i nagle zrozumiałem, że cię kocham. Dlatego dostałaś ode mnie czereśnie i leki. Jeśli masz na mnie uczulenie, to musisz sobie zaaplikować tony lekarstw, bo już się mnie nie pozbędziesz.

- Och, Jon, kiedy ja...

Położył palec na jej ustach.

- Jeszcze nie skończyłem. - Z udawaną powagą zmarszczył brwi. - To jest właśnie ten problem z tobą. Zawsze musisz wtrącić swoje trzy grosze.

Pocałowała jego palec.

- Już grzecznie słucham.

- To świetnie, bo tobie można zamknąć usta tylko pocałunkiem, a nic zamierzam spędzać w ten sposób całego życia.

- Nie? Hm...

- Masz rację. Zamierzam. - By to udowodnić, pocałował ją znowu.

- Chciałeś jeszcze coś dodać - przypomniała mu jakiś czas później.

- Tak. Zostałem współwłaścicielem lecznicy...

- Przeprowadzę się do Beverly Hills - powiedziała szybko. - Tam też mogę zajmować się kwiatami, coś sobie znajdę. Kocham cię, Jon, nie mogę żyć z daleka od ciebie!

- To po co chcesz wyjeżdżać do Beverly Hills, skoro ja zostałem partnerem Victora? Ktoś przecież musi prowadzić lecznicę, gdy on popłynie z twoją babcią w rejs dookoła świata.

- Jon, nie musisz...

- Chcę - oznajmił stanowczo. - Nie muszę, ale chcę.

- A co z twoją karierą? Tu musiałbyś zaczynać znowu od zera. Nic, Jon, nie mogę cię prosić o takie poświęcenie.

- Po pierwsze, nie przypominani sobie, żebyś mnie o cokolwiek prosiła. Po drugie, znowu się ze mną spierasz.

- Wcale się nie...

Uciszył ją kolejnym pocałunkiem.

- Czy nie widzisz, że nie tylko twoje, ale i moje życie jest tutaj? To w Fern Glen mam piękny kawałek ziemi. Zamierzam postawić na nim dom. A za domem małą szklarnię. Chcę się ożenić, chcę, żeby moje dzieci wychowywały się tutaj.

Gwałtownie wciągnęła oddech.-

- Chcesz się ożenić?

Uśmiechnął się.

- Aha. Właśnie szukam odpowiedniej kandydatki - powiedział tym swoim cichym, kojącym głosem, jakim czarował spłoszonego kota podczas ich pierwszego spotkania.

Ten głos niósł obietnicę czegoś bardzo, bardzo miłego...

- Pozwól w takim razie, że przedstawię ci moje kwalifikacje - odparła i przyciągnęła go do siebie.